



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Redaktor Marian Gawalewicz.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI  
Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

### PROJEKT

## pierwszego Tow. pomocy naukowej dla kobiet,

imienia

Narcyzy Żmichowskiej.



Czytałam w pismach warszawskich podsuną myśl, by 25-lecie śmierci N. Żmichowskiej uczcić pomnikiem. Piękny to zamiar; dowodzący pietyzmu dla zasług i pamięci poetki. Wobec tego, że pomniczek, choć skromny, istnieje na Powązkach, zanim do czegoś okazalszego się zbiorą odpowiednie zasoby, możnaby wybudować pomnik z żywych serc, t. j. z ofiar, łączących pamięć imienia tej, która pragnęła z całej duszy światła dla kobiet i walczyła o nie z przesądem i ciemnotą—z praktycznym zastosowaniem jej intencji. Ona chciała dla kobiet nauki gruntownej, któraby kształcać ich umysłowe władze, podniosła poziom ich moralny i ułatwiła pracę, zajęcie odpowiednich stanowisk, zwłaszcza na polu nauczycielskiem.

Dzisiaj dążą do tego celu zdolniejsze dziewczęta, ale jakże ciężko im przychodzi zdobywanie wiedzy! Jak wiele z nich ustaje na pół drogi,—jak wiele marnuje zdolności i przypłaca zdrowiem, częstokroć życiem, usiłowaniami, nie znajdując poparcia.

O dobrą radę, o wskazówki doświadczone i światłe, jeszcze łatwiej może, aniżeli o środki materyalne, dające spokój tak niezbędny przy pracy i rękomię, że raz rozpoczętą, będzie można doprowadzić do końca. Ktokolwiek miał w życiu do czynienia z młodemi dziewczętami, ten wie, ile troski nieraz z tem dalszem kształceniem naukowym i zawodowym, gdy i na najniezbędniejsze nie starczy potrzeby. Jak wiele starszych kobiet, łamie się z trudnościami życiowemi.

Na około nas tak wiele nieszczęśliwych, nieporadnych wobec tych życiowych trudności kobiet na każdym kroku! Każda niemal pewna byłaby swej drogi, gdyby jej podano rękę. Brakuje im kilku lat nauki, egzaminów, patentów, praktyki, wprawy, książek—słowem tego wszystkiego, co niezbędnem do ukończenia nauk i zajęcia stanowisk, co mężczyznom drogę ułatwia. Dla nich są bursy, stypendya, konkursy, pomoc naukowa jako tako zorganizowana; dla kobiet nie ma nic! Od niedawna tak upragnione szkoły gospodarskie w Zakopanem i w Chyliczkach, służą w pewnym kierunku, dając zawodowemu wykształceniu, ale i tam bez pieniędzy dostać się nie można.

Słusznie więc, by „Bluszcz“, naturalny opiekun niewiast polskich, podał inicjatywę w założeniu Towarzystwa pomocy naukowej. Cele jego sięgają w przyszłość daleką. Mam niepłonną nadzieję, że instytucja powstanie szybko i wzmocze się pod opieką wszystkich kobiet. Z drobnych składek, z urządzanych odczytów, przedstawień, z większych darów

nareszcie powstanie to Towarzystwo, jak już tyle innych dobroczynnych, powstało w kraju.

Niechaj wejdzie w zwyczaj, by każda z kobiet uważała tę kasę wzajemnej pomocy za własną; niech tam każdy grosz popłynie, ku pożytkowi potrzebujących. Matki i dzieci muszą ten fundusz wziąć w opiekę, by wzrastał. Każda znacząca uroczystość w domu, czy zdanego egzaminu, czy narodzin, czy ślubu, czy pogrzebu nawet, niech służy za powód złożenia groszy na cele kształcenia. Toż to święty posiew przyszłości, to lza otarta, to siły odpowiednio rozwinięte, to zabezpieczenie starości. Instytucja bowiem rozrastając się i bogacąc, z czasem da środki do nauki, opiekę u siebie, schronienie, czytelnię, kasę pożyczkową otworzy, najbliższem jednak zadaniem zbierać odpowiednie fundusze na rozpoczęcie dzieła.

Kogoż zaprosimy do Komitetu zarządzającego tą młodą instytucją? Przedewszystkiem osoby znane z prac swoich i przekonań. Patronkami Towarzystwa muszą być kobiety wielkiego serca i światłego umysłu: Eliza Orzeszkowa, Deotyma, Konopnicka, Kowerska, Marrené-Morzowska, Rodziewiczówna i inne znakomite autorki nasze. Gdziekolwiek żyją, czemkolwiek zajęte, muszą nam część duszy oddać i połączyć się w pracy dla zbudowania owego pamiątkowego gmachu.

Imię Narcyzy Żmichowskiej, jako uosobienie gorącego serca i promiennej myśli, jako wezwanie obowiązku, będzie nam hasłem w życiu—bo ona, nie kto inny rodzicielką pomysłu, ona

inicjatorką bezpośrednią wszystkiego, co odnosi się do pracy i postępu. Jej wspomnieniu zawdzięczamy ten zamiar, który pod jej błogosławionym wpływem wrośnie.

Grupując się około tej instytucji, staną kobiety nasze murem przy jej celach i dopomogą do wzrostu. Obok kobiet zasłużonych na polu piśmiennictwa, są inne jeszcze! Zasłużone na polu pedagogiki nauczycielki, ochmistrynie, pracownice uspołecznione, filantropki, mające dobro ogółu na względzie; są narreszcie przyjaciółki, uczennice, są ukochane krewne Narcyzy Żmichowskiej, one wszystkie zaproszone do narady, do pomocy, do wspólnej pracy, stanowić będą grono założycielek, w ich ręce złożymy kierunek instytucji. Komitet czynny, złożony z sił młodszych, będzie pośredniczył między niemi a ogółem żeńskiej młodzieży, która bodajby znalazła tam pomoc obfitą a rozumną!

Gdy jedne kobiety będą potrzebowały pomocy materialnej dla dokończenia edukacji lub przeprowadzenia studyów w danym kierunku, innym wystarczy pożyczka, którą spłacając z małym, oznaczonym procentem, powiększać będą fundusz, przeznaczony na cele naukowe.

O sposobie wykonywania poszczególnych działów: wsparcia, pożyczek, wydawnictw etc., czas będzie się porozumieć wtedy, gdy statut instytucji będzie się układał, gdy fundusz odpowiedni się znajdzie. Myśl ta wymaga omówienia i rozwinięcia, w formie pierwszego projektu, oddaję ją w ręce światłych kobiet, z gorącym życzeniem wcielenia go w życie.

Wanda Żeleńska.



## NA WERANDZIE.

(Pogawędka).



Jeżeli kto miał umysł skolatany i pragnął ciszy i spokoju niczem niezamąconego, nadaremno rozpatrywał się dokoła siebie i stosownego miejsca do wypoczynku szukał. Na myśl mu nie przyszło, że jest w Warszawie, i to w śródmieściu, pustynia tak błogosławiona, że tygodniami i miesiącami całemi możesz głosu ludzkiego nie słyszeć, twarzy ludzkiej nie widzieć, a gdybyś zresztą jej widoku nie mógł uniknąć, to ujrzałbyś ją pogrążoną w śnie legendowym, oczekującą chwili rozbudzenia cudownego. Pewny jestem, łaskawy czytelniku, że w tej chwili pomyślałeś o zamku zaczarowanym i o śpiącej królewnie. Gotowyś pas rycerski przywiązać i iść, by obudzić piękną, czekasz jeno na wskazanie ci gmachu tego i śpiącej dziewicy.

Przykro mi niewymownie, że muszę twój rycerski animusz powściągnąć i zapał ostudzić. Zamkiem owym zaczarowanym jest nasze Muzeum etnograficzne, a miejsce śpiącej królewny zajmują woźni, czekający bohatera jakiegoś, któryby mógł zapał publiczności naszej dla tej instytucji rozbudzić.

Była jednak chwila, kiedy w stronie Muzeum tego ruszać się poczęto. Gdy zwrócił uwagę przyjaciela mojego na ten niezwykły objaw, on rzekł ze zdumiewającym spokojem, cechującym znawcę publiczki warszawskiej:

— Zapewne wydarzył się jakiś wypadek około Muzeum i przyjechała karetka Pogotowia.

Już miałem poprzestać na tem zdaniu, z taką pewnością wypowiedzianem, wiedząc jakie to tłumy otaczają codziennie karetkę ona, ale zauważyłem, że tym razem wehikułu ratunkowego wcale nie było, a ludzie, bez żartu, tłoczyli się do wnętrza gmachu.

— Mój drogi! — rzekłem, — mylisz się. Coś się stało w Muzeum samem.

— Może węża niewiastę ssącego sprowadzili — odparł, czyniąc lekceważący ruch ręką. Ale mimo woli spojrział w stronę Muzeum, a pewne zdziwienie odmalowało się w jego twarzy.

— Nie — to coś jest!... żyjemy w latach niespodzianek. Z powierzchni ziemi znikają miasta całe, wieże się wałają, zdobywamy się na energię i Morskie-Oko wygrywamy, panowie nasi zaczynają zwijać stajnie wyścigowe, kto wie zatem, czy i w sprawie Muzeum etnograficznego nie przyszlismy do przekonania, że godne jest ono podtrzymania, że znajomość rzeczy swojskich na coś się przydać może, że, bez poparcia ogółu najpożyteczniejsza rzecz zmarnieje i zmarnieć musi. Chodźmy, przekonajmy się naocznie i uderzmy czołem.

Wchodzimy. Woźni w ruchu, publiczność się kieruje do sali odczytowej Muzeum przemysłu i rolnictwa...

A tam co?

Chińszczyzna!...

Wspaniały zbiór!...

Znajdujemy tu wszystko, co się wiąże z życiem Chińczyka, a w części także Koreańczyka i Japończyka. Oto dział broni palnej — a dział bogaty, bo zaczyna się od prastarych rusznic lontowych, a kończy się na karabinach systemu amerykańskiego. Ciekawszą nawet jest broń sieczna: noże szerokie, dwuręczne tasaki do ścinania przestępców; niezgrabna pierwotna broń ustępuje miejsca wyrobom doskonalszym, więc: mieczykom i mieczom długim a zgrabnym. jataganom, handżarom, halabardom i bagnetom. Wszystko, co się tycze wojskowości, tu się znajduje: łuki, strzały, kołczany, piki, chorągwie i mundury żołnierskie. A oto przedmioty z domowego życia. Chińczyków: więc narzędzia muzyczne, różne sprzęty domowe, naczynia, maty, suknie, pieniądze, druki, akwarelle, zdumiewające nieraz jaskrawością barw, doskonałe obrazy, a okrom tego drobiazgów moc, różne posążki i pieczęcie, przedmioty do gier, zabawki.

— Zkąd to się wzięło? — pytasz. — Kto to zebrał i za czyje pieniądze?

Ano — ot, co mówią:

Był sobie pan taki, który na imię miał Józef, a po ojcu nazwisko nosił Czaki. Z powołania zaś doktor. Ale to wszystko nie: mógł być człowiekiem bogatym, jakich wielu jeszcze u nas, chwalić Pana Boga, jest, i zrobić to, czego inni przy swoim bogactwie nie zrobili.

Weale nie!...

Dr. Czaki w poszukiwaniu pracy na kraj świata wyruszył; z narażeniem życia nieraz zdobywał grosz, a widocznie, że zdobywając go, nie o sobie jeno myślał, lecz wciąż wspomnieniami do dalekiego, a porzuconego od dawna kraju powracał, do tej Warszawy, z którą go łączyło wspomnienie dzieciństwa. I oto: gdy zaoszczędzony grosz włożył w zbiory bogate, o których przed chwilą mówiliśmy, gdy o ile możności skompletował je — przysłał to wszystko, jako upominek, kochanemu miastu, jako wyraz pamięci i miłości. A, bez przesady, zbiór tak jest wspaniały, że nie powstydziliby się nim niejedno Muzeum pierwszorzędnych stolic europejskich.

Zainteresowaliśmy się więc chińszczyzną i mimo woli przypomnieliśmy sobie...

Źle powiedziałem...

Woźni przypominali zwiedzającej publiczności, że o piętro wyżej są zbiory naszego Muzeum etnograficznego.

Ale co tam jest ciekawego? Chaty nasze, sukmany nasze — wszystko *nasze*. Ten i ów zajrzał na górę i wrócił... Pytającego nie zachęcił, sam po raz drugi nie poszedł i wszystko do dawnego wróciło stanu; woźni drzemają, a umysł skolatany i potrzebujący spokoju i ciszy niezamąconej, może błogi spoczynek znaleźć w salach tego Muzeum.

Ale ba! spoczynek!... Ludzie go nie zamają, a sami woźni mogą jeszcze lepiej na ukojenie wpłynąć, ale trudno jest zupełnie ze światem zerwać i szmatka drukowanej bibuły do ręki nie wziąć... Bierzesz — i oto natrafiasz na takie doniesienie dziennikarskie:

„Kiedy Prusacy gnębią Polaków i rugują z miejsc, zajmowanych przez nich; kiedy naród wysiła się, aby swoich popierać, znalazł się magnat polski, który wszystkich oficyalistów w zarządzie ma Niemców. Przykre wrażenie odnosi podróżny, który przejedzie przez wsie polskiego hrabiego, Janusza Tyszkiewicza, za Janowem koło Lwowa. Tablice w lasach i przy dworach niemieckie, a nawet kwity, wystawiane wieśniakom, po niemiecku pisane. Biedny chłop nie wie nieraz, za co go grabią, a wina tu w wydawaniu kwitów i asygnat niemieckich z pieczęcią: „Forst u. Guts-Verwaltung.“ Oficyaliści Polacy szukają nieraz miejsc, jako rządcy, kasyerzy, leśni i t. p., a nie mogą znaleźć posady, bo w Lelechówce, Majdanie i Wereszycy tuczą się polskim chlebem niemieccy oficyaliści. Jeden p. F., wysłużywszy sporo lat i uciuławszy grosza, wyemigrował do ojczyzny swej, kupił sobie majątek w Styryi, wydał córki za Niemców po za Galicyą, syna zaś, wychowanego wśród Niemców, pozostawił w Lelechówce. Duszą i ciałem Niemiec, p. F. prowadzi zarząd kłuczka jakby gdzie pod Berlinem w duchu „Vaterka.“

W niezwykłym roku, gdzie tysiąca niezwykłych zjawisk świadkami jesteśmy, oby, powyżej opisany wypadek, znamię także niezwykłości nosił na sobie. A jednak, choć tylko ów pan Janusz Tyszkiewicz poczyna tak sobie, i mogą ani swat, ani brat, nie odpowiadać za to — przypatrzywszy się jednak bliżej, na onym swacie i bracie, także niemała odpowiedzialność ciąży. Bo czyżby mogły owe tablice z napisami niemieckimi, owe karty po niemiecku chłopom wydawane, ostać się,

gdyby zechcieli wpłynąć na tego przyjaciela Niemców krewni, przyjaciele, znajomi? Widać zjawisko to nie jest niezwykle, widocznie z wypadkami podobnymi oswoiły się — sumienia.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny i od oswojen się pewnych — racz nas zachować Panie!... Człek się zrazu oswaja, później się przyzwyczaja, a później... owo oswojenie się, owo przyzwyczajenie, bierze za rzecz naturalną i dziwić się będzie, gdy mu zarzuca zamięłowanie w brudach, gdy czyny jego nazwa... bardzo niepoprawnymi, gdy nawet posłyszysz słowo potępienia... Ale i z tem się oswoić można, do wszystkiego przyzwyczaić się, i dlatego, panie bracie i swacie, na baczności się miej; łańcuch odpowiedzialności, jak i każdy inny, ze spójnych ogniw się składa, ogniwa licze i zepsute wyrzucić potrzeba, tylko śmiało, bez żadnych względów i względów.

Przykry ten obrazek pokryty zostaje wcale innym obrazkiem, o którym zapomnieć się nie godzi, a że nie krąg cienia lecz promienne światło w koło siebie roztacza, tem milej wspomnieć o tem i baczną uwagę zwrócić.

Nie będziemy rozpisywali się, bo zadaleko w przeszłość potrzeba byłoby sięgnąć i nie pogawędkę przygodną lecz duże studium społeczne wypadałoby napisać — dla czego pomiędzy ludem naszym brak jest inicjatywy do jakiejś szerszej, zbiorowej pracy; dla czego tak łatwo daje się on wyzyskiwać przez geszefciarzy i plony własnego trudu marnuje? Stwierdzamy tylko fakt, że tak było, ale jest nadzieja, że tak już nie będzie, gdy wzmoże się świadomość i poczucie siły własnej, nie w rozdrobieniu lecz skupieniu leżącej. Oto — w jednym dziale przynajmniej przemysłu wiejskiego, zrodziła się myśl samopomocy, a gdy poparta przez brać starszą zostanie i wyda rezultaty dobre — zakres działania onej samopomocy rozszerzy się i błogosławione owoce wyda.

Wiedzieliśmy może a możeśmy nie wiedzieli, że rok rocznie na targi Warszawskie, jesienią, zjawiają się włościanie z płótnem samodzielowem. Płótna te są mocne, wypróbowanej dobroci i — tanie. Jedyne zaś dla domowego użytku. Gosposie — znawczynie rade są płócien tych dostać, lecz rzadko kiedy mogą z takim sprzedawcą na targu się spotkać i nabyć przedmiot pożądanym. Włościanin zaś sam nie wie dokąd się obrócić, traci czas i pieniądze, bo bądź co bądź, coś zjeść a i przespać się gdzieś trzeba. Nic więc dziwnego, że wchodzi w targi z żydkiem, który będąc panem położenia, kupuje towar hurtem, płaci tanio, sam zaś w trójnasób zarabia.

Otóż, dla uniknięcia strat, dla zapewnienia sobie kupujących, włościanie z powiatu nowomińskiego, umyśliли wspólnym kosztem otworzyć sklep w Warszawie, nie tylko dla własnego towaru, lecz przyjmować produkt ten i od innych włościan.

Myśl doskonała!.. pierwsza spółka włościańska, pierwszy włościański sklep!.. Od pań naszych teraz zależy, utrzymujących dom a czystość w mieszkaniu lubiących, poparcie siłami wszystkimi tego sklepu włościańskiego. Niepowodzenie może zrazić i zachwiać wiarę w siły własne, powodzenie zaś może zachęcić do

zakładania coraz to nowych spółek i da możność włościaninowi naszemu wydobycia się raz nareszcie z rąk, bogacącego się kosztem jego, żydowstwa. Jaki udział w tem my mieć możemy i powinniśmy, to się jasno samo przez się tłumaczy: po płótno na ściěrki, wańtuchy, sienniki, nie na Nalewki iść a choćby nawet i do znanej Żyrdardowskiej firmy, która nie a nie na tej konkurencji nie straci — lecz do sklepu włościańskiego. Powinniśmy zrozumieć doniosłość takiego zespolenia się w przemyśle chłopów naszych, które jest tylko początkiem bardzo ważnych i poważnych zmian, bo nieogładania się na Icków i Mozków, nie u nich szukania podpory, lecz w sobie samym, w swoim rozumie, wytrwałości i przedsiębiorczości. Za tem wszystkim pójdzie zamożność, oświata, poczucie siły i pewność siebie konieczna. Gdy w myśli chłopskiej zrodziła się ta myśl samopomocy, nie pozwólmy jej zginąć w związku. Pogawędzimy jeszcze o tem, gdy wyżej wspomniany sklep stanie i zajdziemy tam z tobą po płócienko, szanowna czytelniczko moja.

— Wszystko to jest dobre, mój drogi — odzywa się mój przyjaciel, — ale po kiego licha tak bez ceremonii o Ickach i Moških mówisz, ty, który, zdaje się, nigdy antysemitą nie byłeś i pomiędzy przyjaciółmi swoimi niejednego przecie masz żyda... Wiem nawet, że częstokroć gorąco w obronie ich stawałeś — czy nie tak?..

— Nie zaprzeczam!.. bo w człowieku szanuję człowieka, nie jego wyznanie czy pochodzenie.

Powoli jednak różowe osłonki zaczynają opadać z oczu; Żydzi, zdobywszy równouprawnienie, pieniądze, stosunki, wpływy, żyjący na jednej ziemi z nami, nie czują się wcale jej synami, przenosząc się myślą i pragnieniami do Palestyny. Ale w tej Palestynie sultan turecki jest panem; ale w tej Palestynie glebę nieurodzajną kamienie pokrywają; ale w tej Palestynie nie można żadnego dobrego interesu zrobić — więc: marząc o idealnej ojczyźnie, realnej ani na chwilę porzucić nie chcą; piastując piękną myśl wyzwolenia Judei, względem kraju, w którym żyją i który ich żywi, do żadnych nie poczuwają się obowiązków, a czując grunt silny pod nogami, otwarcie i jasno wypowiadają już myśl swoją. Wielka to wygoda mieć dwie ojczyzny: o pierwszej marzyć, z drugiej korzystać, nawzajem nie jej nie dając, boć przecie to nie ich ziemia, nie ich macierz. Wiemy jacy Żydzi są w Poznańskiem: zwolennikami Hakaty, jawnymi naszymi wrogami, — a teraz przenieśmy się do Galicyi, gdzie konstytucya od wszelkich wyjątkowych praw chroni; gdzie w posiadaniu swoim mają wielkie obszary naszej ziemi. Zdałoby się, że tam wiernymi naszymi sprzymierzeńcami byliby powinni i jedno czucie mieć z nami. Otóż we Lwowie, w dniach ostatnich odbył się zjazd młodzieży żydowskiej, i oto, z przemówień na tym wiecu młodych wyznawców syonizmu, dowiedzieliśmy się, że: „uważają się oni za *obywateli* przyszłego państwa w Palestynie, a nie chcą być „obłudnymi,“ stwierdzają, że asymilacja jest dla nich zgubną, że z Polakami *nie ich zgola nie łączy*.“ Pomimo zaś, że ojczyznę i państwo swe widzą w Palestynie i pomimo, że

z krajem tutejszym *nie chcą mieć nic wspólnego* i do obowiązków obywatelskich *tutaj nie poczuwają się*: żądają jednak uznania swej narodowości w życiu publicznym, jako *równorzędnej*, oraz *całkowitego* podziału z Polakami praw politycznych i obywatelskich we wszystkich dziedzinach życia, jako to: w szkolnictwie, w udziale rządów autonomicznych, oraz w reprezentacji parlamentarnej. W myśl powyższych wywodów uchwalono domagać się uznania odrębnej, a równorzędnej z innemi, *narodowości żydowskiej*, zaprowadzenia w szkołach wyższych *nauki języka hebrajskiego*, przyznania Żydom *reprezentacji* w sejmie i parlamencie, oraz *liczniejszego obsadzania* Żydami posad w urzędach politycznych, administracyjnych, w sądach, w wydziale krajowym“ i t. d.

Czytając to wszystko, mimowoli przeciera się oczy, czy czasami litery nie ułożyły się przypadkiem dziwnym w słowa i zdania wprost bezczelnością technące. Bo jakże: są obywatelami przyszłego państwa w Palestynie, z Polakami nie ich zgola nie łączy, nie chcą mieć nic wspólnego z krajem, w którym żyją, do żadnych obowiązków obywatelskich tutaj się nie poczuwają, a żądają całkowitego podziału praw politycznych i obywatelskich (za co? że nie poczuwają się do obowiązków obywatelskich?), — udziału we wszystkich dziedzinach życia, przyznania swej narodowości jako równorzędnej z naszą, hebrajszczyzny w szkołach, posad, urzędów, i t. d., i t. d.

Baranku, który wilece zębki pokazałeś!.. Prawdziwie chcesz być ludem wybranym, mieć *wszystko*, nie poczuwając się do niczego. Wygodnie to — dla ciebie, baranku! ale pozwól, ażeby i inni o swoją wygodę wreszcie dbać zaczęli i zrozumiałwszy obywatelskość swoją, zrozumieli, w jak błędnem obracali się dotąd kole, zwać cię Polakiem moją żeszowego wyznania, darząc cię zaufaniem i przyjaźnią.

Kazimierz Gliński.



ESTEWA.

## KALEJDOSKOP.



(Ciąg dalszy).

Poufną gawędę przerwała Józia, wchodząc do gabinetu z różowym, pachnącym listem w rękę.

— Daj! — powiada Henryk, wyciągając rękę.

— To do pani, posłaniec przyniósł, — odrzekła Józia, podając list Maryni.

Ta chwilę przygląda się znanemu sobie pismu, uśmiecha się, rozrywa kopertę i wyjmuje arkusik, zawierający zaledwie kilka nakreślonych wierszy. Lecz w miarę czytania policzki się zaogniają, a czoło groźnie się zciąga. Opanowała jednak wkrótce przykre wrażenie i chowając list do kieszeni, zwróciła znów wypogodzoną twarz ku mężowi.

— Od kogo list — spytał Henryk, nie spuszczać z niej oka.

— Od krawcowej; pisze, że okrycie nie będzie na termin gotowe—odrzekła Marynia cokolwiek niepewnym głosem.

— No, to nie wielkie zmartwienie.

— Naturalnie — odrzekła, składając do koszyczka rozrzuconą po stole robotę, a zwracając się do męża, rzekła: „Zdrzemnij się trochę, pewno jesteś zmęczony, a pamiętaj, że wieczorem przyjdzie do nas pani Malecka i państwo Kosaneccy. Wracają oni jutro na wieś i chcą się jeszcze z nami pożegnać.“

I wolnym, spokojnym krokiem opuściła gabinet. Lecz zaledwie drzwi za sobą zamknęła, opadła nagle maska sztucznego spokoju, ze ściągniętymi brwiami stanęła w oknie swego pokoju, wyjęła z kieszeni list i po raz wtóry wolno odczytała te kilka słów:

„Bardzo ci życzliwa osoba doradza, abyś dom swój zamknęła dla rzekomej swej przyjaciółki, Maryni Rozdeckiej, pani ta bowiem od dawna była i jest przyjaciółką twego męża, mogłaby zatem i nadal rościć sobie prawa, jakiego się tylko małżonce należą.“

— Droga Maryniu, posłam ci anonim, który dziś rano na dzień dobry otrzymałam. Co o nim sądzisz?

Twoja przyjaciółka  
*Zofia Kettińska.*

Marynia zmieła list w dłoni i jęknęła, jednocześnie jakiś ogromny spazm ją chwycił i dusi. Opada na fotel, stojący koło okna, twarz wtula w miękką poręcz i płacze, z początku ciszej, potem coraz głośniej, coraz rzewniej, jak dziecko, któremu krzywdę wyrządzono.

...I za co ją ludzie tak szarpia, tak znęcają się nad nią—pyta sama siebie. Co komu złego zrobiła? Nie pierwszy to raz łączą jej nazwisko z nazwiskiem Kettińskiego. Teraz przypomina sobie cały szereg pytań, półsłów, aluzji, docinków... W prostocie ducha brała to wszystko za żarty, za rodzaj dowcipu, i odpowiadała ze swobodnym uśmiechem.

Ten podły anonim, usiłujący za jednym zamachem zdruzgotać szczęście i miłość młodego małżeństwa, i zerwać węzły przyjaźni tych dwóch rodzin, był czynem tak wyrafinowanie nikczemnym, że cała dusza jej drgnęła z obrzydzenia. Nie zastanawiała się nawet nad tem, od kogo ten pocisk pochodzi—czuła tylko niewysłowiony ból, że w społeczeństwie są takie wstrętne płazy. I jak w kalejdoskopie przesuwają się w jej umyśle te całe zastępy próżniaków i pasożytów, zabijających czas plotkowaniem i szarpaniem czci bliźnich... I ona żyła wśród takich ludzi... Na czemże opierali domysły o rzekomym romansie między nią a Karolem Kettińskim? Toż między niemi nie było nawet cienia tego, co ludzie „flirtem“ zowią, nigdy żadnych czułości, żadnych wyznań i żadnych zabiegów. Lubili się, to prawda. Kettiński bywał u nich często, z Henrykiem żył jak z bratem rodzonym, wszak lat kilkanaście spędzili z sobą na ławach szkolnych, w każdym wspomnieniu postać jednego łączyła się z postacią drugiego. Dla Karola, żona Henryka, jako kobieta, nie istniała... Czegoż ludzie od nich chcieli?

Rozmyślenia Maryni zostały nagle przerwane gwałtownym wejściem Henryka do poko-

ju. Przyskoczył do żony i chwytając ją silnie za ramię, potrząsnął brutalnie.

Ona drgnęła i spoglądając na męża zdumionym wzrokiem, spytała:

— Henryku, co ci się stało?

— Pokaż list, który przyniósł posłaniec! — odrzekł jej suchym, ostrym głosem.

Zbladła i zmieszana się. Miała przeczucie, że wisi nad nią katastrofa.

— Na co ci ten list potrzebny? — spytała machinalnie.

— Wracam od twojej krawcowej. Okrycie będzie na czas gotowe.

Marynia milcząc podała mu list, leżący na oknie.

Teraz pytała się sama siebie ze zdziwieniem, dlaczego, gdy list odebrała, nie pokazała go zaraz mężowi. Wszak ona temu nie winna, że ktoś posłał anonim pannie młodej.

Rozdecki list wyglądził i czytał. Znać jednak było, że treści nie rozumie. Nagle fala krwi uderzyła mu do głowy, potem bardzo zbladł i wargi zaczęły mu się trząść. Czuł dziwny szum w uszach, w skroniach krew tętniała, myśli się mąciły. Patrzył jakimś błędnym wzrokiem na żonę i zadawał sobie pytanie: „Czy ta kobieta wyrafinowanie go oszukuje, czy też on, Henryk, jest równie podłym w swych podejrzeniach, jak i ten anonim?“

Marynia utkwiała wzrok w męża i śledziła każde jego poruszenie—instynktownie odczuwała walkę, jaką staczał z cisnącymi się podejrzeniami. Podeszła do niego i położyła rękę na jego ramieniu.

— Henryku!...

Głos jej łagodny przywrócił mu przytomność. Potarł ręką czoło, potem oczy, i starając się nadać głosowi spokojne brzmienie, spytał:

— Maryniu, czemu skłamałaś?

— Wiedziałam, że ciebie list ten zaboli, mimo, że jest tylko anonimowym oszczerstwem—odrzekła, zarzucając mu obie ręce na szyję.

Odsunął ją lekko.

— Nie przypuszczałem, że potrafisz skłamać tak na poczekaniu, bez zająknięcia—odrzekł ponuro.

— Czyż to kłamstwo? Postaw siebie na mojem miejscu... przecież i tybyś chciał oszczędzić mi przykrości.

— Czegoż tak szlochałaś... jeśli ten list jest istotnie tylko potwarzą? — spytał porywczo.

— Bo to boli, bardzo boli — dodała, zalewając się znów łzami.

— Grzeszyć nie boli... — odrzekł Henryk, patrząc bezmyślnie na ulicę.

— Człowieku, to, coś pomyślał teraz, jest jeszcze podlejszem, niż ten anonim! — krzyknęła Marynia, zrywając się ze swego miejsca.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Wreszcie Marynia podeszła do męża, zarzuciła mu obie ręce na szyję i topiąc wzrok w jego oczach, spytała wolno, akcentując sylaby:

— Henryku, czy ty uważasz mnie zdolną do popełnienia czynu niskiego?

— Nie, — odrzekł Henryk, odetchnąwszy głęboko, jak gdyby ciężar spadł mu z piersi.

— Więc nie myślmij dłużej o tej sprawie—odrzekła, całując go serdecznie.

— Maryniu — odezwał się Henryk po chwili wahania, — przysięgnij mi na miłość twoją

dla dziecka, że list ten kłamie. Przysięgnij, żeś nie była nigdy...

Zaciął się.

— Dokończ! — rzekła Marynia, stając cała w płomieniach i zciągając groźnie brwi, — że nie byłam nigdy kochanką Karola! Nie, mój mężu, ja nie przysięgnę.

Postąpiła kilka kroków naprzód, chcąc opuścić pokój, ale mąż ją dogonił i zatrzymał.

— Dla mego spokoju — błagał, — przysięgnij!...

— Nie — odrzekła twardym głosem, — albo mi ufasz, i jesteś przekonany, że ja oszukiwać i kłamać nie potrafię, albo mnie podejrzewasz. W tym wypadku nawet przysięga cię nie uspokoi.

— Ja wiem, Maryniu, że ty jesteś czystą i szlachetną, ja ci wierzę, a jednak dlaczego nie chcesz przysiędz, skoro tego żądam? — dodał, znów wybuchając.

— Bo uważam taką przysięgę, jako uwłaczającą dla siebie. Każde słowo twoje jest policzkiem, na jaki nie zasłużyłam po pięciu latach wspólnego pożycia.

Przy ostatnich słowach głos jej załamał się zupełnie i rozpląnął w jęku.

— Marychno — zawołał Henryk, kłękając i obejmując jej nogi, — wybacz duszko... kochanie... żoneczko... ja ciebie tak kocham, tak szalenie... że nie przeżyłbym, gdybyś mnie kiedy porzuciła... — szeptał, tuląc głowę w fałdach jej sukni.

Ona milcząc, poddawała się biernie pieśczo-  
czotom. Poprzednia scena wyczerpała ją, jednocześnie myśli jej przybrały zupełnie nowy kierunek. Wybuch zazdrości u Henryka był czemś tak niespodziewanym, że zaczęła analizować ten fakt. Lecz im głębiej wnikała w pobudki, jakie wywołały całe to zajście, tem większy niesmak w niej się budził. Jakto, więc on, jej mąż, chociażby przez sekundę mógł myśleć, że ona kłamie miłość, by uspić jego czujność, że prowadzi romans z Kettińskim?... Całusy kradzione, schadzki i ta cała bezdeń kłamstw i brudów, jakie pociąga za sobą romans zamężnej kobiety?... I to jej ukochany Henryk podejrzewa?... Jakież męty muszą znajdować się w duszy jego, jeśli podobne przypuszczenia zrodzić się mogły. Jakąż pogardę czuć musi dla kobiety?... A teraz czy istotnie żałuje i jest przekonany o jej niewinności, czy tylko politykuje, by uspić jej czujność i śledzić ją zdaleka?...

Henryk czuł się winnym wobec żony. Bardzo pokornie powiedział jej dobranoc. Ona chłodno oddała mu pocałunek. Z cichem westchnieniem udał się do gabinetu, w którym sypiał od czasu przyjścia dziecka na świat. Zły był na siebie, rozumiał, że skrzywdził żonę. Boć istotnie Marynia nigdy do powątpiewań nie dawała powodu, o jej miłości dla siebie był przekonany. Uspakajał się, że Marynia sama wszystkiemu była winną, bo żeby mu ze swobodną miną list pokazała, byłby ją jeszcze uspakajał. Anonim! któżby wierzył w anonimy!

Ale Marynia skłamała—i to tak, na poczekaniu, bez chwili wahania — krawcowa okrycia na termin nie wykończy!

(Dokończenie nastąpi).

\*  
\* \* \*

Cierp duchu! Konaj z męki rozpięty na krzyżu  
Pod przeskwarnem obliczem pustynnego słońca,  
Niech rany twe rozwarne suche wichry liżą  
Niech cię pali żar dzienny bez ulgi, bez końca.  
Pragnij, jak ongi Tantal i umieraj z głodu  
Przed zastawionym stołem biesiadą wykwinną,  
Miej płomień w swojej piersi—zewnątrz pancierz  
[z lodu.

A gdy ci u stóp kwiaty wzrosną i zakwitną,  
To nasłuchuj, z kąd rozbrzmi głuchy kosa brzęk,  
Ścisnij się, jak gad w sobie — zgłusz najcichszy  
[jęk...

Ach, bo nie tylko twoje kwiaty zcina sierp!  
Cierpią miliony — i ty cierp!

Lamary.



Ferdynand Hoesick.

## FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.  
(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

III.

### Wycieczka w Poznańskie.

Przyczyny wyjazdu.—U Wiesiołowskich.—Tydzień w Antoninie.—Raj z dwiema Ewami.—„Faust“ księcia Radziwiłła.—Księżniczka Eliza.—Lekeye z księżniczką Wandą.—Polonez C-dur.—Powrót do Warszawy.

Natury nerwowe i nadwrażliwe — a taką właśnie naturą był Chopin — bardzo często grzeszą brakiem konsekwencji w życiu; wszystko u nich zależy od chwilowego nastroju: co przed chwilą mieniły być czarnem, to za chwilę, pod wpływem innego usposobienia, gotowe uznać za białe, i odwrotnie. Przykładem takiej niekonsekwencji, tem bardziej jaskrawym, że w nim prawie jednocześnie to samo, co mu się wydaje czarnem, wydaje się także białem, jest list Chopina do Wojciechowskiego z dnia 3-go października 1829-go roku, list, w którym na jednej stronie znajduje się utyskiwanie z powodu możliwości wyjazdu na czas jakiś do Berlina, na skutek zaproszenia księcia Antoniego Radziwiłła, „kiedy mi teraz potrzeba *tu siedzieć*, gdzie mam tyle dzieł pozaczynanych,“ a w którym zaraz na następnej stronie spotykamy się z pragnieniem wyjazdu z Warszawy, bo „gdyby nie to, że rodzina mi uprzyjemnia pobyt, *tobym tu nie wysiedział*.“ Nie zdając sobie jeszcze sprawy dokładnie, które z tych dwóch sprzecznych i wykluczających się uczuć w niem przeważało, otrzymał Fryderyk nagle, w pierwszej połowie października, list od Wiesiołowskich ze Strzyżewa, by niezwłocznie przyjechał do nich dla zobaczenia się z księciem Antonim Radziwiłłem, świeżo przybyłym z Poznania do Antonina, to widzenie się bowiem może okazać się dlań bardzo ważnym i pomyslnym w skutkach... Jakkolwiek bez wielkiego zapału, ale nagłony do tego przez ojca,

który do protekcji Księcia Namiestnika wielką przywiązywał wagę, zaczął Fryderyk starać się o paszport, a uzyskawszy go, dnia 20-go października, na parę godzin przed swym wyjazdem z Warszawy, tak pisał do Wojciechowskiego: „Jadę dziś o 7-ej wieczorem dylizansem do Wiesiołowskich w Poznańskie i dlatego wprzód piszę, zwłaszcza, że nie wiem, jak długo mi bawić tam wypadnie, lubo paszport tylko na miesiąc wzięłem. Myślą moją jest wrócić za dwa tygodnie. Przyczyną mojego wyjazdu jest tam bytność księcia Radziwiłła w swoich dobrach pod Kaliszem...“

Ponieważ wyjazd ten łączył się ściśle z przyszłą karierą artystyczną Fryderyka, więc nie omieszczał wziąć z sobą kilka swoich świeżo wykończonych, lub jeszcze ostatecznego wykończenia domagających się kompozycji, w tej liczbie „Trio G-moll,“ „Koncert F-moll,“ z zaczętych dopiero finałem, kilku najnowszych „Etiud“ etc., etc., wiedział bowiem, iż rzeczy te niezmiernie będą księcia interesowały, raz dlatego, że sam uprawiał muzykę *con amore*, a powtóre, że pragnąc być mecenasem młodego artysty, był ciekawym ostatnich owoców jego twórczego talentu.

Wytechnawszy po drodze u Flammów w Kaliszu, po niedługim, bo zaledwie kilkudniowym pobycie w Strzyżewie, przeniósł się Chopin w końcu, na wyraźne zaproszenie księstwa Radziwiłłów, do ich rezydencji w Antoninie, gdzie, jak się okazało, tak mu było dobrze, tak mile, że poprostu czuł się „jak w raju.“ Obchodzono się z nim, jak z książką, uprzedzano wszelkie życzenia i zachcenia, uwzględniano nawet kaprysy, wyróżniano na każdym kroku, pieszczono, psuto, słowem, dokładano wszelkich możliwych starań, by był zadowolonym ze swego pobytu w Antoninie, by nabrał ochoty do częstszych przyjazdów tutaj, by się czuł w tym książęcym, magnackim pałacu, jak w domu, pomiędzy najbliższymi.

„Sama stara księżna (z domu margrabianka von Krautenburg-Schwed, synowica Fryderyka II-go) wie, że nie urodzenie czyni człowieka, a tak zobowiązuje swoim obejściem się, że niepodobna jej nie uwielbiać.“ Polubiwszy niezmiernie Fryderyka, zachwycona jego cudną grą i kompozycjami, a także i nim samym, jego wrodzoną dystynkcyą, wdziękiem i tą poezią, której posiadał tak wiele, życzyła sobie księżna Radziwiłłowa, by w maju przyjechał do nich do Berlina, zapraszając go do siebie, do swego pałacu przy Wilhelmstrasse, na które to tak łaskawe zaproszenie odpowiedział oczywiście, że zeń nie omieszka skorzystać, zwłaszcza, że mu ono, jak mówił, w niczem nie przeszkodzi na zimę pojechać do Wiednia, dokąd się wybierał stanowczo...<sup>1)</sup>

Niemniej uprzedzającym dlań i łaskawym okazał się książę Namiestnik. „On sam (pisał o nim Chopin do przyjaciela), wiesz, jak lubi muzykę. Pokazywał mi swojego „Fausta“ i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyslnych, a nawet genialnych, że się nigdy po *Namiestniku* tego spodziewać nie

<sup>1)</sup> „Księżna Radziwiłłowa życzy sobie, abym był w maju w Berlinie, zatem nie mi nie przeszkadza jechać na zimę do Wiednia.“ List do Wojciechowskiego z dnia 10-go listopada 1829-go roku,

mógł. Między innymi jest jedna scena, w której Mefistofel kusi Gretchen, grając na gitarze i śpiewając przed jej domem, a jednocześnie słycać śpiewy chóralne z pobliskiego kościoła. Ten kontrast wielki efekt w egzekucji robi. Na papierze widać sztucznie ułożony śpiew, a raczej akompaniament dyabelski, podczas gdy chór kościelny trzymany jest w poważnym bardzo tonie. Z tego możesz mieć wyobrażenie o jego sposobie pojmowania muzyki. Przytem zabity Gluckista. Muzyka teatralna tyle ma u niego znaczenia, ile maluje położenia i uczucia, dlatego nawet „Uwertura“ nie ma zakończenia, tylko w „Introdukcję“ wchodzi, a orkiestra wciąż będzie umieszczoną za sceną, aby jej widać nie było, aby poruszeniami smyczków i t. p. rzeźbami nie sprawiała słuchaczom dystrakcyi.“

Najswobodniejszym jednak, najbardziej sobą, czuł się Chopin w towarzystwie dwóch księżniczek Radziwiłłowien, Elizy (znanej z tego, że się w niej kochał młody król Wilhelm, który ją nawet pragnął poślubić) i Wandy. Jeśli w ogóle przez cały czas pobytu w Antoninie miał wrażenie, że się dostał do raju, to raj ten w jego pojęciu tem tylko różnił się od biblijnego Edenu, że tam była jedna Ewa, tutaj zaś było ich dwie. „Były tam dwie Ewy, młode księżniczki, nadzwyczaj uprzejme, dobre, muzykalne i czułe istoty.“ Księżniczka Eliza, prócz talentu do muzyki (odziedziczonego po ojcu), posiadała jeszcze wybitny talent malarski, a celując w malowaniu portretów, zachwycona pełną artystycznego charakteru głową młodzieńckiego *maestra*, wymalowała w albumie swym aż dwa jego portrety. „Chciałeś mego portretu (pisał wkrótce potem Chopin do Wojciechowskiego); żebym mógł być ukraść jeden księżniczce Elizie, tobym go był tobie posłał; dwa razy mię w sztambuchu zrobiła, o ile mi ludzie gadali, bardzo podobnie...“<sup>1)</sup> Rozmiłowana w muzyce, księżniczka Eliza przepadała za grą Chopina, to też ciągle prosiła go, by grał. Zwłaszcza była zachwycona jego Polonezem F-moll. „Nie mogłem się wymówić od przysłania im „Poloneza“ mego *F-moll*, który zajął księżniczkę Elizę; proszę cię więc, przyslij mi go pierwszą pocztą, bo nie chcę być poczytanym za niegrzecznego, a z pamięci pisać nie chcę, kochanku, bobym inaczej może napisał, niż jest w istocie. Możesz sobie wyobrazić charakter tej księżniczki, kiedy jej codziennie tego „Poloneza“ grać musiałem, a nic tak nie lubiła, jak Trio As-dur“<sup>2)</sup>.

Ale jeżeli księżniczka Eliza potrafiła sobie zjednać nadzwyczajną sympatyę Fryderyka, to w nierównie wyższym stopniu udało się to jej młodszej siostrze, księżniczce Wandzie.

<sup>1)</sup> Oto, co o jednym z tych portretów pisze M. A. Szulc w swym cennym „Zbiorze wiadomości i uzupełnień, dotyczących życia i utworów Fryderyka Chopina.“ „Zresztą stosunek księcia do Chopina nie był wcale stosunkiem protektora do protegowanego; tego nie dopuszczała ani wygórowana delikatność księcia, ani uprawniona duma artysty; był to raczej stosunek, podobniejszy do przyjaźni. Po dziś dzień wisi w zamku antonińskim, jak nam wnuk księcia namiestnika, książę Edmund Radziwiłł opowiadał, wizerunek Chopina, zapewne ręką której z księżniczek wykonany, gdzie go dotychczas z czcią niemal religijną przechowują.“

<sup>2)</sup> Zob. „Oeuvres posthumes“ Chopina, „Polonez“ op. 71.

Niesłuchanie muzykalna i głównie poświęcająca się muzyce (podobnie jak jej siostra głównie zajmowała się malarstwem), więcej miała wspólnego z Chopinem, a już nie tak ich nie mogło zbliżyć do siebie, jak życzenie jej rodziców, by przez czas bytności młodego maëstra w Antoninie, brała od niego lekcy gry fortepianowej. Lekcy te, raz dlatego, że uczennica była słiznym, młodziutkiem dziewczęciem, pełnem wdzięku, finezyi, dowcipu i wytworności, a powtóre, że miała prawdziwy talent do muzyki, że wszystko pojmowała w lot, lekcy te, bynajmniej nie utrudzające Chopina, lecz będące dlań, przeciwnie, ogromnie miłą rozrywką, przy której mu czas zchodził doskonale, nadzwyczaj przyjemnie zapisały się w jego pamięci. Przez całe życie o nich opowiadać lubił, jak wogóle o swym pobytku w Antoninie, którego poezją niewątpliwie były te nieporównane lekcy z księżniczką Wandą. Tymczasem, pod świeżem wrażeniem tych lekcy i swej pojętej uczennicy, pisał do Wojciechowskiego: „Niby jej przez ten czas lekcy dawałem. Młode to, 17 lat, ładne i, dalipan, aż miło było ustawiać paluszki. Ale żart na stronę: wiele ma prawdziwego uczucia muzycznego i nie potrzeba gadać, a tu *crescendo*, a tu *piano*, a tu prędzej, a tu wolniej, i t. d.“

Lecz nietylko wtedy, gdy miał lekcy z księżniczką Wandą, lub grywał swego „Poloneza F-moll“ księżniczce Elizie, oddychał Chopin w czasie swej bytności w Antoninie, atmosferą muzyczną. Wobec muzykalności książęcego domu, wobec tego, że sam książę, po za swoim kompozytorskim talentem, celował w grze na wiolonczeli, muzykowano bardzo wiele. Nie było dnia, aby nie przyszło do świetnej biesiady muzycznej. Oczywiście, że najczęściej grywał Chopin, który bądź czarował, olśniewał, zachwycił, rozmarzał i rozrzewniał swemi niezrównanemi improwizacyami (najczęściej w ciemnym salonie), bądź grał swoje najnowsze utwory, jak Adagio z Koncertu, Etiudy, Walce i Mazurki, lub też Sonaty Beethovena, Hummla, Mozarta, bądź też z kapelmistrzem Klingohrem, nauczycielem księżniczek, grywał na cztery ręce. Uprawiano także muzykę kameralną, do której tak dobrze nadawało się Chopinowskie „Trio“, pisane jakby z myślą o tem, żeby w niem książę Radziwiłł mógł grać partyę wiolonczelową...

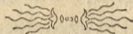
W tej samej myśli napisał teraz Chopin, w Antoninie, poloneza na fortepian z wiolonczelą, w tonie C-dur, którego natychmiast po skomponowaniu, wykonał wraz z księciem-namiestnikiem. O polonezie tym, przy którego pisaniu myślał o księciu Radziwiłł, gdy kreślił część wiolonczelową, a o księżniczce Wandzie, gdy tworzył część fortepianową, wyraził się Chopin, w liście do Wojciechowskiego, jakby z pewnem lekceważeniem, tak, jakby tego utworu nie traktował na seryo. „Napisałem u niego — u Radziwiłła — *Alla Polacca* z wiolonczelą. Niema w niem nic prócz błyskotek, do salonu, dla dam. Chciałem, widzisz, żeby się księżniczka Wanda nauczyła.“

W ogóle czuł się doskonale usposobionym do komponowania, w głowie mu się paliło od coraz nowych pomysłów, a szczególnie nie dawał mu spokoju jego „Koncert F-moll“,

który czempredziej pragnął widzieć skończonym. Na to jednak, żeby go wykończyć należycie, musiał się znaleźć w normalnych warunkach, a te mógł mieć tylko w domu, w Warszawie; w Antoninie mógł zdobyć się co najwyżej na salonowego, pełnego „błyskotek“ Poloneza „dla dam“, ale do pisania rzezy takiej, jak „Koncert“, potrzebował skupić się, życie zaś, jakie prowadził w Antoninie, uniemożliwiał wszelkie skupienie. To było powodem, że już po tygodniu pożegnał się z księstwem, a choć go pewno puścić nie chciano, wyjechał mimo wszystko. Nawet księżniczka Wanda nie zdołała go namówić, by został dłużej.

Stanąwszy z powrotem w Warszawie, pisał dnia 14-go listopada do Wojciechowskiego: „Ostatni twój list odebrałem w Antoninie u Radziwiłła. Byłem tam tydzień; nie uwierzysz, jak mi u niego czas mile zeszedł. Co się tyczy mojej osoby, byłbym siedział, dopókiby mię nie wypędzono, lecz moje interesa, a szczególnie mój Koncert jeszcze nie skończony, a oczekujący z niecierpliwością ukończenia Finału przynaglił mię do opuszczenia tego raj.“

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z Cmentarzy.



Cmentarz Powązkowski to ogrom, to miasto całe. Są w niem dzielnice, są ulice, nagrobki, pomniki; krzyże zewsząd wyglądają, czasami tylko wyziera nędzna lepianka z ziemi, trwalsza jednak od porfiru i granitów. Prawda, osiadzie i zrówna się ona z poziomem ale zostanie i trwać będzie do końca świata.

Aby w tem mieście do zmarłych trafić, trzeba zapamiętać numer i ulicę; aby grób jaki odnaleźć trzeba wstąpić do kancelaryi miejscowej, spełniającej funkcyę biura adresowego. Czasem powiedzą, że wymeldowany, t. j., że w tem samem miejscu po upływie terminu, gdy na własność miejsce zakupionem nie zostało, kto inny pochowany został. Nawet po śmierci wywłaszczają, stracisz prawo posiadania, jeżeli na termin nie opłacisz i kwitem nie stwierdzisz prawa własności. Taki to świat i jego porządki!

Błądziłem po wielkim parku śmierci. Co krok spotykało się nazwisko dobrze znane. Tu leży krewny, tam znajomy, lub postać znana w literaturze i sztuce, ówdzie mąż stanu, filantrop lub uczony.

Grób Jachowicza, przy nim biskupa Dekerta, tego dziecięcia Warszawy, w katakumbach pochowany Hugo Kollontaj, pono tutaj gdzieś grób Malczeskiego.

Cmentarz Powązkowski założony został w końcu XVIII-go w., nagrobków lub tablic z tego czasu pozostało bardzo niewiele. Koło kościoła omszały kamień z napisem Ś. p. Ignacy Kajetan Święcicki † 1800 r. należy do jednych z najdawniejszych grobowców.

Za katakumbami widnieją napisy o dobrze znanych nazwiskach i herbach: Ś. p. Herman Ciodek Poniatowski, dr. medycyny, żył lat 40,

† 1872. W tymże roku zmarł Adam Poniatowski, ur. na Wołyniu w 1807 r. Dalej grób Kościuszków Wałużyniczów, Adolf obywatel Mohylewski, zm. 1873 roku. Mijam nagrobek senatora i uczonego Romualda Hubego († 1890 r.), pomnik Królikowskiego i dążę ku końcowi cmentarza. Coraz mniej marmuru i kamienia, więcej krzyży drewnianych i mogił. Jest jeszcze nawet trochę wolnego miejsca.

Wzrok mój pada na kolosalnej wielkości głaz, w pobliżu ostatniej bramy będący. Ten naturalny, o powierzchniach fantastycznych kamień, nosi napis: Stanisław Hiszpański, szewe, 1815—1890. Jaki prosty, a jaki piękny swą prostotą nagrobek i napis. Siedemdziesiąt pięć lat życia pożytecznego i obywatelsko pojętego! Znowu pomnik stary, drzewami otoczony: Ks. Bazyli Kalinowski, Bazylianin, żył lat 108. Matuzalowe lata! Niezwykle późny wiek przypomina mi napotkane nagrobki w Saratowie na cmentarzu katolickim. Jako wysoce charakterystyczne zanotowałem i teraz dosłownie napisy przytoczyć mogę. Za wiarogodność ręczę, bo sprawdzałem w księgach kościelnych.

Jan Mikołaj Saven, francuzki poddany, porucznik wielkiej armii Napoleona I ur. w Rouen 17 kwietnia 1768 r., zm. w Saratowie d. 29 listopada 1894 r. przeżywszy lat 126. Historia jego życia wspomina, że wzięty do niewoli w 1812 r. wysłany został do Saratowa jako jeniec, tam się zaklimatyzował, do ojczyzny już wracać nie chciał; a do końca życia, jako obywatel francuski pobierał emeryturę.

Drugi starzec pochowany na tymże cmentarzu to Wasil Nieziporowicz, szlachcic, lekarz wojskowy zm. d. 30 marca 1893 r., przeżywszy lat 104. Trzeci starzec o którym wiem, nazywał się Jan Jaworowski, zmarł w marcu 1901 r., pochodził ze szlachty gub. Grodzieńskiem, miał lat 113. A więc i w naszych czasach dożywają ludzie późnego wieku!

Coraz więcej ludzi na świecie, coraz więcej cmentarzy. Jedne pokolenia ustępują drugim, na gruzach starych cmentarzy wyrastają miasta, a nowe powstają. Niegdyś w Warszawie, prawie przy wszystkich parafialnych kościołach istniały cmentarze grzebalne; z założeniem Powązkowskiego, tamte znikły, a teraz o śladach ich świadczą czasem odnalezione przy kopaniu kanałów kości w wielkiej ilości.

Drobne ślady tych cmentarzy dotrwały do naszych czasów. Cmentarz przy parafii Św. Barbary na Koszykach, założony w XVIII w. wraz z kościołkiem, posiada jeszcze ślady dawnych katakumb, jakie tu biegły w około muru. Mnóstwo tablic umieszczonych w murze da się jeszcze odczytać. Tutaj pochowany był generał Michał Sokolnicki, znakomity strategik, ceniony przez Napoleona I-go, zm. w r. 1816-ym z powodu uderzenia przez rozhułkanego rumaka podczas rewii na Placu Saskim. Na tablicach z pomiędzy stu kilkudziesięciu dochowanych nazwisk zwracają uwagę: Ludwika z Krasieńskich Reytanowa, ur. 1774, † 1804 r.; Teresa de Poellnitz Grabowska, żona szambelana J. K. M., żyła lat 22, zm. 1786 r. Wogóle na cmentarzu tym spotyka się dużo nazwisk arystokracji rodowej i osób, zajmujących wyższe urzędy.

Po za cmentarzem na Koszykach, na terytorium sąsiadującym ze stacją filtrów, docho-

wało się kilka nagrobków z ementarza, założonego tu koło 30 roku zeszłego stulecia, dla zmarłych w szpitalu Ujazdowskim i dla zmarłych z parafii kościoła, dziś nieistniejącego, a będącego w Alejach Ujazdowskich. Kościół ten drewniany, po zbudowaniu kościoła Św. Aleksandra, rozebrany został. W ogrodzie przy szpitalu ewangelickim, po dawnym ementarzu zachowało się kilka nagrobków z XVIII wieku; również w końcu ulicy Kapucyńskiej dotrwały dwa nagrobki, sztachetami ogrodzone, jako jedyny ślad istniejącego tu niegdys ementarza przy kościele OO. Kapucynów.

Kilkadziesiąt tysięcy osób zmarłych na cholere, pochowanych w dziedzińcu dawnego szpitala Dzieciątka Jezus, jako ślad widoczny, posiadało pomnik kamienny z odpowiednim napisem, przypominającym ten fakt. Pomnik usunięto przy rozbiórce gmachów i przeniesiono na nowe terytorium.

W końcu tej notatki kilka słów przypomnienia o dawnych czasach i dawnych ludziach z powodu setnej rocznicy śmierci panny *Lhulière*, zmarłej d. 22 grudnia 1802 r. Ówczesna Warszawa dobrze ją znała, terazniejszej przypomnieć należy — wspomina o niej w dziele „Cmentarz Powązkowski“ K. Wł. Wójcicki.

Pierwotnie była ona kabalarką, mieszkała w Paryżu, wróżąc z kart i z dłoni. Gdy Stanisław Poniatowski bawił w stolicy Francji, podobno wróżyc mu miała, że zostanie królem, co gdy się spełniło, sprowadził ją przez wdzięczność do Warszawy, obdarował domem Nr. 371 na Krakowskim Przedmieściu, który kazał tak samo umeblować, jak miała w Paryżu urządzone swoje mieszkanie.

Pani ta uchodziła w Warszawie za margrabinię, obracała się w domach magnackich, wróżyła za wielkie pieniądze, a czasem... bawiła się malarstwem. Wymalowała nawet portret siostry króla, „pani Krakowskiej,“ będący w zbiorach galerii Stanisława Poniatowskiego.

Podania piśmienne mówią, że król pod pozorem wizyt u p. *Lhulière* przechodził do obok stojącego domu Wasilewskiego, w którym na pierwszym piętrze mieszkała pani Grabowska i wtedy zawiązywały się bliższe ich stosunki. Dom ten miał mnóstwo skrytek i przejść tajemnych. Położony był naprzeciwko nieistniejącego już klasztoru pp. Karmelitanek. Podług Wójcickiego, Zofia *Lhulière* umierając miała lat 86, pochowana na ementarzu Powązkowskim, kamień z napisem, jaki był, nie istnieje.

Drugie wspomnienie należy się *Ksaweremu Lampi*, którego pięćdziesiąta rocznica śmierci († d. 22 lipca 1852 r.) minęła niepostrzeżenie.

*Lampi Ksawery*, swojego czasu bardzo wzięty malarz, syn rozgłośnej sławy artysty, dyrektora Akademii wiedeńskiej i nadwornego malarza cesarzowej Katarzyny II, już w młodości swojej wybitne okazywał zdolności.

Ożeniony zgodnie z wolą ojca, wkrótce zerwał ciężące mu pęta, a wydziedziczony za to, porzucił ojczyznę, udając się najpierw do Węgier, a w r. 1815, gdy proklamowano Królestwo Polskie, do Warszawy. Tu i tam pędzłem zarabiał na swoje utrzymanie.

Malował portrety, krajobrazy i obrazy historyczne, znajdując chętnych nabywców w bogatych domach Warszawy.

Dużo prac *Lampiego* (syna) znajduje się w Wilnie, Wrocławiu i Lwowie. Najliczniejszy zbiór obrazów zmarłego artysty posiadał w Warszawie p. Henryk Hejnze, przyjaciel *Lampiego*. Zmarł na cholere, mając lat 69, pochowany na ementarzu ewangelickim, spoczywa bez nagrobku. Życiorys zmarłego skreślił swojego czasu Aleksander Lesser w „Dzienniku Warszawskim“ z 1852 r.

Pięćdziesiąt lat dobiega od wydania przez Wójcickiego dzieła „Cmentarz Powązkowski,“ przez ten czas wiele grobów zasłużonych ludzi przybyło, wiele głośnych imion przeniosło się w krainę wieczności, wiele talentów podciętych kosą śmierci spoczęło na wieki; odszukać ich, przypomnieć, zebrać w jedną całość, to zadanie następnego wydania dzieła Wójcickiego, o którym nakładcy warszawscy pomyśleć powinni. Tem życzeniem kończę wspomnienia niniejsze.

*Mieczysław Offmański.*



## Na marginesie.



### I.

#### Rozmyślanie.

Gdy kto szczerze tłumaczy, co myśli, co czuje —  
Gdy wyjaśnia, przekłada boleść serca swego,  
Często nawet najbliższy słów tych nie pojmuje,  
I przesadą mianuje skargę duszy jego.

Dopiero kiedy w walce nierównej ulegnie,  
Kiedy rozbite życie wspomnieniem się staje,  
Každy zda się czuć winę, rad z pomocą biegnie,  
A strata niezwykłą każdemu się zdaje. —

Ludzie, coście oziębli wobec cnej niedoli,  
Niech po przejściu ofiary serce was nie boli.

### II.

#### Życie.

Samego Boga jesteś częstką — życie!  
Wielbią cię wszelkie żyjące stworzenia:  
Opiewa ptaszek tonący w błękiecie,  
Ozdabia kwiatek wśród słońca i cienia,  
Robaczek, trawka rosą orzeźwione,  
Czują rozkosze życiem rozbudzone...

Lecz do zgodności światowego grania  
Tylko się człowiek dostroić nie może;  
Szczęście, chmurami występku zasłania  
I wśród rozkoszy ściele cierpień łoże...

Błędny rozumem balamucąc serce,  
Ma życie, siebie, Boga w poniewierce...

*Kometa.*



## Schronienie dla nauczycielek.



Po latach pracy, trudów i zaparcia się, gdy siły upadają, bystrość umysłu przygasa, zdrowie szwankuje, bliźcy i przyjaciele do grobu

się położą, co ma robić staruszka, która często pół wieku prawie cudze dzieci uczyła?

Cięzki, gorzki los starców bezsilnych, spracowanych a samotnych.

Nad losem tym, nad dolą tą sierocą bolała gorącym sercem jedna z takich pracownic — szlachetna, niezapomniana ś. p. Agnieszka Helwich. Myśl dawno poczętą w czyn wprowadziła przed dwudziestu przeszło laty.

Oszczędzone ciężką nauczycielską pracą kilka setek rubli złożyła wówczas na ręce ks. Zygmunta Chełmickiego, niezmordowanego oddawna działacza na polu pracy obywatelskiej i społecznej, prosząc o poparcie swego projektu, projektu zapewnienia na starość spokojnego kątku spracowanym nauczycielkom. Przy czynnym i chętnym udziale ks. Chełmickiego, który dla tej zacnej sprawy zjednał znane z rozumnej filantropijnej działalności panie: Emilię Błochową i M. Wrotnowską, wkrótce już projektodawczynie zamieszkała wraz z sześciu wiekowymi nauczycielkami w kilku skromnych pokoikach przy ulicy Żórawiej. Było to pierwsze „Schronienie dla nauczycielek,“ był to pierwszy jego związek, który po kilku stopniowych fazach, rozwinął się przy pomocy Bożej jak kwiat ze skromnego pączka, w instytucję o działalności coraz szerszej i pożyteczniejszej.

W ubiegłą niedzielę, dnia 26-go b. m. JE. ksiądz biskup Ruszkiewicz, w asystencji duchowieństwa, poświęcił nowy dom Schronienia w Zielonce pod Warszawą, dom, który w stosunku do poprzednich pomieszczeń tego zakładu, wspaniałym nazwać można. O kwadrans drogi od dworca petersburskiego, na piaszczystym wzgórzu, porośniętym młodym zagajnikiem, wznosi się gmach dwupiętrowy, zbudowany podług estetycznego planu architekta, p. L. Szyllera, z wysmukłą wieżyczką, wśród obszernego, dziesięcio-morgowego ogrodu, w zaczątkach wprawdzie jeszcze będącego, ale gdzie już dziś nie braknie cienistych zarośli, przeglądających się w przeźroczej tafli stawów, ni projektów na klomby, mostki i altanki, co z przyszlą wiosną zostanie ostatecznie urządzone, gdyż obecnie wszelkie siły, środki i fundusze zakładu zwrócone były do wykończenia domu, w którym zamieszkają już staruszki-nauczycielki.

Liczną i gwarną grupą zwiedzamy zatem zakład cały, korzystając z uprzejmych i dokładnych objaśnień prezydującej w zarządzie księżnej Maryi Woronieckiej. Zaglądamy do miłych, jasnych, czysciutkich pokoików, na progu których spotykamy zadowolone i rozradowane dzisiejszą uroczystością ich lokatorki, do saloników na parterze i na pierwszym piętrze, gdzie te panie mają nawet fortepian, gdzie na pogawędkę zejść się mogą, do łazienki, pralni, magli, spiżarni, kuchni — ale to kuchni idealnej pod względem czystości i urządzenia, gdzie, jak objaśnia nas szanowna prezydująca w zarządzie: „zawsze jest tak samo porządnie, nie tylko na dzisiejszą uroczystość,“ do pomieszczeń dla służby (widnych, suchych, dużych pokojów), do łazienki dla służby nawet (o postępie!), biegamy po schodach na dół i na górę, wreszcie zatrzymujemy się w obszernej, slicznej sali jadalnej, wesołej, jasnej, jak dzień czerwcowy, zakończo-

nej absyda, stanowiąca kaplicę. Tu cisza i skupienie.

JE. ks. biskup, duchowieństwo, opiekunki, prassa—no i my, szary tłum, słuchamy z rozrzewnieniem dziękczynnego przemówienia jednej z dwóch starsuszek-nauczycielek, od lat 20-tu przebywających w zakładzie.

Po tych słowach gorącej wdzięczności najdawniejszej z pensyonarek, zabrał głos ks. Chelmiński i w silnej, prostej a zwiezłej mowie streszcza całą historię zakładu, wspomina niepożyte zasługi dwóch zmarłych przełożonych tej instytucji: ś. p. Agnieszki Helwich i Józefy Kamockiej, podnosi owocną, choć tak niedawną działalność, energię i serdeczność dla mieszkanki zakładu, obecnej jego przełożonej, panny Zofii Piaskowskiej, wykazuje fundusze instytucji, fundusze powstałe z ofiarności ludzi gorącego serca i dobrej woli (pani Emilia Blochowa ofiarowała 14,000 rubli, panna Jadwiga Sikorska, przełożona pensyi, 10,000 rubli, z zapisu ś. p. Czabana 10,000 rubli, pewien kapłan bezimiennie 9,000 rubli, oraz różne pomniejsze ofiary), dziękuje wszystkim opiekunkom za ich wytrwałą pracę i niezłomną działalność, nazywając słusznie p. Blochową „duszą“ zakładu, a pannę J. Sikorską jego „sercem“, sercem, które troskało się zawsze o zapewnienie wygod i możliwych przyjemności tym spracowanym starszkom; zaznacza pracowitą działalność księżnej Maryi Woronieckiej, jako prezydującej w zarządzie. Dalej dziękuje szanowny mówca wszystkim opiekunkom, wszystkim działaczom, o sobie tylko, głównym motorze tego dzieła, zapominając.

Pomimo tej hojnej ofiarności wyżej wymienionych osób, fundusze zakładu w nieświetnym znajdują się stanie. Do wypłacenia wszystkich należności, niezbędnych do ukończenia robót, brakuje jeszcze 24,000 rubli, które znowu drogą ofiarności publicznej zebrać potrzeba.

Zarząd proponuje utworzenie stypendyów po 4,000 rubli każde, stypendyów, noszących na wieczne czasy imię fundatora, z prawem przysługującym mu umieszczenia w zakładzie wybranej przez siebie nauczycielki. Sądźmy, że ta szlachetna myśl dozna poparcia i uznania, że znajdą się ofiarodawcy, którzy przytulając w ten sposób w zacisznym i miłym kąciku jedną z tych istot zacnych, które kiedyś ich samych, lub dzieci ich uczyły i wychowywały, zapewnią sobie wdzięczność i miłe wspomnienia wszystkich starganych pracą, bezsilnych starsuszek-nauczycielek, które zakład w Zielonce w ciche swe progi przygaranie, opieką i spokojem dobrze zasłużonym otoczy.

Bożymir.



## Błogosławieństwo Ojca Św. dla Deotymy.



Dzień 15 października, dzień Świętej Jadwigi, to prawdziwa uroczystość w salonie wieszczki—Deotymy. Wspaniałych kwiatów, zło-

zonych w daninie poetce dostojnej—pełno,—przyjaciół i wielbicieli, niosących jej hołdy i życzenia serdeczne—tłumy.

Wśród najmilszych darów i życzeń najmilszych, najbardziej wzruszające wrażenie sprawił pergamin nadeszły z Rzymu a zawierający słowa:

— „Błogosławieństwo Ojca św. wielkiej poetki polskiej, Jadwidze Łuszczewskiej, zwanej zazwyczaj Deotymą, która w tym roku święci jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy swej literackiej.

Ze względu na to, że znana jest Ona, jako najwierniejsza córka Kościoła, że wśród jej dzieł znajduje się wiele utworów poetycznych, głęboko religijnych, chcąc na nią sprowadzić łaskę, któraby ją wzmocniła w tych uczuciach, Ojciec Święty darzy ją szczególnem swoim błogosławieństwem.

Dnia 11-go maja 1902 r.“

Tak brzmi w skróceniu treść cennego dokumentu, dodać tu jednak należy, iż o ile łatwo jest uzyskać błogosławieństwo papieskie zwykłe, o tyle rzecz się ma inaczej, gdy chodzi o błogosławieństwo szczególne.

Zwykłego błogosławieństwa Ojciec św. nie odmawia nikomu z proszących, to jest, specjalnie ku temu delegowany *monsignor*, nie referując nawet o tem Papięzowi, na prośbach zaznacza, że Ojciec św. błogosławieństwa udziela. Błogosławieństwa szczególnego udziela papież tylko osobiście. Musi być poprzednio o łaskę proszony i wiedzieć kogo ma łaską tą obdarzyć.

Oto wierny odpis dokumentu przysłanego z Rzymu:

### TRÈS SAINT PÈRE.

Hédvige Łuszczewska, grande poète polonaise, connue généralement sous le pseudonyme de Deotyma, célèbre dans le courant de l'année présente le 50 anniversaire de son activité poétique et littéraire.

La connaissant comme fille très fidèle de la Sainte Église, qui dans ses oeuvres, parmi lesquelles on compte un nombre considérable de poèmes profondément religieux, ne s'est jamais éloignée de la doctrine de l'Église Romaine, et désirant lui procurer une grâce, qui la fortifiant dans ses sentiments, serait pour elle un gage de la bénédiction Divine, une groupe de ses amis catholiques, humblement prosternée aux pieds de Votre Sainteté, la supplie d'accorder à Hédvige Łuszczewska une bénédiction toute spéciale de Votre Sainteté.

Pod tem podpisano:

„Ex audientia SSmi 11 maii 1902 Sanctissimus implorata benedictionem peramanter impertivit.

Ex secretario status die 12 mense et anno praedictis.

M. Card. Rampolla.

Ustęp końcowy po polsku brzmi tak:

„Na posłuchaniu u Jego Świątobliwości d. 11-go maja 1902 r. Jego Świątobliwość błogosławieństwa, o które go proszono, najmiłosćniej udzielił.“



## PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Fra-Diavolo“, „Dragoni Villarsa“, „Manon.“ — P. Anselmi. — Koncerty Filharmonii i Kwartet czeski. — Luigi Mancinelli. — Towarzystwo Muzyczne. — Nowości muzyczne.

Opera warszawska rozpoczęła tedy sezon, który stanowić ma o jej istnieniu lub niebycie. P. Floryński zabrał się rażno do pracy i w dalszym ciągu walczy ze starymi nawykami publiczności naszej, w myśl uchwał byłej komisji teatralnej, powołanej specjalnie w roku zeszłym, jak to naszym czytelnikom wiadomo, w celu obmyślenia radykalnej reformy systemu, praktykowanego dawniej. Zerwanie przez reżyserję z tradycjami tego systemu, daje się już spostrzegać na każdym kroku. W operze przedewszystkiem panuje życie i ruch, jakiego dawniej szukałoby się naprózno. W przeciągu miesiąca wznowiono i wystudyowano na nowo trzy opery: „Fra-Diavolo“, „Dragonów Villarsa“ i „Manon“ Masseneta; niebawem usłyszymy nowosć „Hero i „Leander“ Mancinelli'ego, dalej pójdą nowości: „Walkiryje“, „Chopin“, „Wilhelm Tell“, „Samson i Dalila“ i t. d., nie licząc wznowień. Czegóż tu więcej wymagać? Plan repertuarowy jest świetny, a urozmaicenie takie, jakiego nie widzieliśmy od lat Bóg wie ilu; lecz odświeżyć repertuar to jeszcze mało, trzeba dla wykonania go, jak należy, stworzyć prawdziwie artystyczny zespół operowy, bez obciążania budżetu — jednym słowem ograniczyć import drogiego fenomenów zagranicznych, a powołać do czynu siły miejscowe. I w tym kierunku praca reżyserji widnieje w całej pełni. Siły młodsze miejscowe obejmują coraz to obszerniejszy zakres działalności, powiedzmy odrazu, wywiązują się z zadania bardzo pomyślnie. Czy to p. Bogucka w „Fra-Diavolo“, czy p. Chotkowska w „Fauscie“, czy p. Margot Kaftalówna w „Dragonach Villarsa“, lub p. Drzewiecki w rozmaitych partyach — wszyscy spisują się bardzo dobrze, a niektórzy nawet doskonale. Już dziś wróżyć można, że te młode siły, pracując stale w obranym kierunku, niezadługo wytworzą zespiewany i zgrany z sobą zespół, który zupełnie będzie mógł odpowiadać wszelkim wymaganiom artystycznym i, jak to ma miejsce w teatrach zagranicznych, stanie się niewzruszoną podstawą działalności rozumnej i wytrwałej. Z innych innowacji arcyżądanych wspomnieć jeszcze należy o pracy nad przeistoczeniem chórów, które obecnie brzmią pełno i dźwięcznie, a przyjmują udział w akcji coraz częściej, o niezwyklej staranności w wyreżyserowaniu, inscenizacji i w przygotowaniu strony dekoracyjnej wystawianych dzieł, nie mówiąc już o tem, że język ojezysty, zrozumiący dla wszystkich, wypiera coraz silniej śpiewanie po włosku. Słowem reżyserja robi, co może. Dziś oczywiście są to pierwociny tej działalności; niejedno jeszcze razi, i nie dziwnego, trudno wymagać, aby w ciągu paru miesięcy można wytworzyć coś doskonałego z materiałów surowych, ale robota już rozpoczęta nie na żarty, i publiczność nie powinna skąpić dla niej ani uznania, ani pomocy.

Jak już nadmieniliśmy powyżej, w ciągu ostatniego miesiąca wznowione zostały trzy opery: „Fra-Diavolo“, „Dragoni Villarsa“ i „Manon“ (ta ostatnia po włosku). Wznawieniu dwóch pierwszych przyklasnąć należy z całego serca. „Fra-Diavolo“ to typowy okaz opery popularnej, która we wszystkich obozach muzycznych i u wszystkich zwolenników opery, bez względu na to, jakiemu hołdują kierunkowi w muzyce, znajduje uznanie. Dzieło to bowiem — to jeden wielki zbiór melodyi. Za falą melodyi uroczej, płynnie druga fala, za tą drugą trzecia, równie piękna, i tak bez końca, od pierwszego taktu partycyi do osta-



tniego. A przytem każda z tych melodyj tak lśni w wykwińskiej oprawie technicznej, jak brylant w kunsztownej i pełnej smaku oprawie jubilerskiej. Każda ma piękny podkład harmoniczny, opracowana jest nadzwyczaj przejrzyście, a w dodatku posiada ładną instrumentację i styl szlachetny. Dzięki tym wielkim zaletom opera Auber'a obiegła tryumfalnie wszystkie sceny świata, a i dziś, lubo liczy sobie 72 z górą lata życia scenicznego, interesować może i podobać się, nawet bardzo. Rzecz oczywista, że im lepsi są wykonawcy ról poszczególnych, tem wyraźniej będą wydane wszystkie piękności opery, tem silniejsze wrażenie słuchaczy odbiora.

Ponieważ obecni wykonawcy z bardzo nielicznymi wyjątkami stoją na wysokości zadania, przeto „Fra-Diavolo“ powinien liczyć zawsze na powodzenie, tem bardziej, że będąc wystawiony po polsku, pozwala słuchaczowi nie tylko rozkoszować się czarem melodyj i urokiem pogodnej partycy, dalekiej od zgrzytań i targań nowoczesnych, których tak wiele znajduje się w dziełach doby ostatniej, lecz i bawić się szczerze przepelniającymi libretto pysznymi dowcipami i kalemburami, które przy wykonaniu w języku włoskim zupełnie ginęły dla szerszego ogółu.

Wszystko wyżej powiedziane odnosi się i do drugiej z wznovionych oper, mianowicie do „Dragonów Villarsa“ Maillarta. Wprawdzie w tej ostatniej operze libretto z fabułą zbyt prostą, z akcją dość jałową w pomysłach, z epizodami często nawet zanadto naiwnymi, nie może równać się z pełnym humorem, świetnym tekstem „Fra-Diavola“, lecz usterkę tę sowicie okupują zalety muzyki, tak cenne, jak: obfitość i płynność melodyj, nierzadko pełnej prawdziwego natchnienia, bogactwo wielkie rytmiki, humor i dowcip, prawdziwie gallicki, smak wykwiński i misterność opracowania. Dla tych zalet dzieło Maillarta, skomponowane przed 50-iu prawie laty, rychło przyswoiły sobie wszystkie sceny francuskie i niemieckie, gdzie spotkało się ono z wielkim uznaniem; dla nich uznanie to powinno towarzyszyć miluchnej operze przy terażniejszym jej wznovieniu i u nas, tem bardziej, że wystawiona jest i wykonana nad wyraz udanie.

Co się tycze „Manon“, to ani libretto niesympatyczne, osnute na tle powieści romantycznej l'abbé Prévosta d'Exilles, ani muzyka, melodyjna wprawdzie i szlachetna, lecz pozbawiona siły i energii, nie mogą rokować dziełu Masseneta dłuższego żywota. W ogóle cała opera, obliczona jedynie na popis gry i śpiewu dla dwojga bohaterów głównych, a pełna pomysłów ubogich i skreślonych bez polotu, może interesować tylko wtedy, gdy wykonanie partyi naczynych, powierzone jest doskonałym siłom. Ponieważ właśnie opera nasza znajduje się obecnie w tem szczęśliwym położeniu, że siły takie w osobie p. Kruszelnickiej; i gościa włoskiego tenorzysty Anselmiego posiada, wznovienie „Manony“ ma pewną rację bytu, a talent wykonawców zmusza do pogodzenia się z tym faktem. O primadonnie naszej i o jej talencie tyle razy już pisałem, że nad kreowaniem przez nią postaci uroczej rozpustnicy rozpisywać się szerzej nie będę. Wystarczy powiedzieć, że artyzm znakomitej śpiewaczki i tym razem zabłysnął w całej pełni. Wykonanie przez nią roli zarówno pod względem wokalnym, gdzie sopran jej dramatyczny podolał w zupełności technicznym subtelnościom lżejszego stylu, jak i pod względem aktorskim, gdzie w grze podziwiała należała niezwyczajną siłę i wyrazistość, zasługuje na najwyższe uznanie. Doskonałym towarzyszem świetnej „Manony“ jest p. Anselmi, jako kawaler des Grioux, dla którego właściwie, jak się zdaje, wznoviono operę. W tenorystyce tym opera nasza pozyskała siłę prawdziwie przyciągającą. Głos artysty nie należy wprawdzie do gatunków pierwszo-

rzędnych, jest jednak dźwięczny, rozległy w skali i znakomicie wyszkolony. Umiejętność wielka używania tego materiału, wysokie poczucie miary artystycznej w posilkowaniu się wszelkimi efektami wirtuozostwa śpiewaczego, frazowanie nad wyraz piękne i wytworne, budzą niekiedy podziw prawdziwy. Jeśli do tych zalet dodać jeszcze wiele w śpiewie sympatycznego gościa słodczy i uczucia, oraz i to, że każdą rolę gra starannie i umiejętnie, kraszając wszystko temperamentem ognistym i zapałem młodzieńczym, dziwić się nie należy dużemu wrażeniu, jakie artysta za każdym swym występem i w każdej partyi wywiera. P. Anselmi wystąpił dotychczas w „Rigoletto“, „Cyganery“, „Manon“ i „Wertherze“, i w każdej z tych oper przedstawił się w pełnym znaczeniu słowa tego bez zarzutu.

Skończywszy z operą, przechodzę do Filharmonii, której rozpoczęty już drugi sezon zapowiada świetne plony, obiecując publiczności szereg wrażeń w wielkim i szlachetnym stylu. Z ogłoszonych dotychczas zapowiedzi i programów wynika, że dyrekcyja tej instytucji postarała się, aby wszystko, co muzyka wszechświatowa wydała najlepszego w czasach ostatnich, ukazać się mogło na estradzie wspólnego tego przybytku sztuki. Przedsmak oczekiwanych wrażeń dały nam już trzy koncerty filharmoniczne z udziałem słynnego kwartetu smyczkowego czeskiego, kapelmistrza i kompozytora włoskiego, Luigi Mancinelli'ego, i znakomitej pianistki, Teresy Carreño. Kwartet czeski, złożony z pp. Nedbala, Hoffmana, Suka i Wihana, stanowi bezwarunkowo jeden z najlepszych, a może nawet i najlepszy zespół w tym kierunku. Począwszy od instrumentów szlachetnych, a dobranych naturą brzmienia, od niesłychanej zgodności w intonacji, rytmice, w szczególności technicznych i jednolitem wykonywaniu tychże — wszystko to wydoskonalone do ostatnich, zda się, granic, a tak dalece skojarzone w jedną jakoby duszę, iż, nie tylko, patrząc, nie dowierzamy sobie, iż gra cztery osoby, nie jedna, ale stajemy wobec nadzwyczajnego urzeczywistnienia wyobrażeń naszych o ideale kwartetu. Ową swobodę w tempach, stanowczość w kolejnym zabieraniu głosów, pewność w odbieraniu sobie wzajem pasażów i figurek, zacięcie charakterystyczne, panowanie nad temperamentem lub wybuchy jego, wyrzeźbianie najdrobniejszych szczegółów trzeba słyszeć i podziwiać osobiście, gdyż miary tego nie da żadne opowiadanie, żaden opis. Czy można się wobec tego dziwić, że występ muzyków czeskich był prawdziwą uczcą artystyczną? Bardzo dobrze również udał się wieczór z udziałem Mancinelli'ego, który wystąpił w podwójnym charakterze — kapelmistrza i kompozytora. Jako kapelmistrz, Mancinelli zarekomendował się wogóle doskonale. Wprawdzie o prowadzeniu przez niego V-jej Symfonii Beethovena z pewną afektacją i sztuczną powolnością dałoby się powiedzieć to i owo, w dyrygowaniu natomiast utworami współczesnymi oraz swojemi własnymi, muzyk włoski, zrzuciwszy togę klasyczną, w której mu niezupełnie jest do twarzy, okazał się takim, jakim jest właściwie, t. j. znakomitym kapelmistrzem operowym. W utworach tego rodzaju wrzący i wulkaniczny temperament dyrygenta znalazł ujście właściwe, elektryzując słuchaczy i wykonawców, nie zwykła zaś umiejętność uchwycenia odcieni kolorystycznych i stosowania efektów światłocienia, przejawiało się nad wyraz świetnie.

Jako kompozytor, muzyk włoski zaprezentował kilka wyjątków z dość bogatego dorobku swego kompozytorskiego. Naturalnie niepodobna z nich dać wyczerpującej oceny talentu kompozytorskiego znakomitego kapelmistrza, w każdym razie jednak wzbudziły one zajęcie duże i poważne. Melodyjność, przejrzystość opracowania, wielka wprawa we

władaniu barwami orkiestrowymi, zupełne opanowanie form, oraz prawdziwe bogactwo oryginalnych i dowcipnych pomysłów i kombinacji harmonicznych i efektów kontrapunktowych — oto zalety wszystkich utworów Mancinelli'ego. Co się nakoniec tycze trzeciego wieczoru filharmonicznego z udziałem Teresy Carreño, to gra świetnej tej wirtuozki zbyt jest znana, aby się dłużej nad uznaniami powszechnie zaletami jej rozwodzić. Carreño pozostaje wciąż tą „lwicą klawiatury“, jak ją nazwał dowcipnie przed laty jeden ze słynnych krytyków lipskich; unosząc się na falach temperamentu, panuje ona prawdziwie w świecie klawiszów tam, gdzie idzie o efekty siły, kontrastu i biegłości.

Mówiliśmy już o teatrze, o Filharmonii, — do zupełnego tedy zobrazowania ruchu muzycznego w grodzie naszym pozostaje nam jeszcze zdać sprawę z działalności trzeciej naszej instytucji muzycznej — Towarzystwa Muzycznego, które zapowiada nam również udział w koncertach swoich takich sił, jak słynny, a nieznany u nas zupełnie skrzypek, Marsick, Godowski, Burmester i t. d., a tymczasem posilkuje się wyłącznie siłami miejscowymi. Siły te, pomimo posuchy na nie, zbiegławy dyrektor Noskowski zawsze umie jakoś wynaleźć, z ich pomocą obywa się skutecznie bez ciągłego importowania drogich znakomitości zagranicznych, a członkom Towarzystwa daje wiele wrażeń przyjemnych i trwałych. Program pierwszego koncertu wypełnił całkowicie Michałowski, który tonem śpiewnym, a zasobnym we wszystkie odcienia wyrazistej siły, świetną techniką, indywidualnością i polotem w traktowaniu każdego utworu, porywał, jak zwykle, zachwyconych słuchaczy. Drugi wieczór dał pole do popisu głównie jednej ze zdolniejszych uczennic Michałowskiego, p. Löwenhoff, która już obecnie jest poważną siłą artystyczną, w przyszłości zaś, przy dalszej pracy, może zająć nawet poczesne miejsce w szeregu naszych wirtuozek fortepianu, będąc szczerze obdarzoną przez naturę wielu danymi w tym kierunku. Na trzecim wreszcie wieczorze powszechną uwagę zwróciła na siebie młodzianka uczennica Joachima, p. Bohuszewiczówna, obdarzona tonem pięknym, uczuciem, temperamentem i niezwykłą inteligencją artystyczną.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych. Na tem polu ruch duży, wszystkie główne firmy wydawnicze stanęły do apelu i wobec rozpoczynającego się roku szkolnego wystąpiły z całym szeregiem wydawnictw pedagogicznych, głównie fortepianowych. O zewnętrznej stronie wszystkich tych wydawnictw wystarczy powiedzieć w paru słowach, iż odznacza się ona dużą starannością. Druk, papier, korekta, wygląd estetyczny nic nie pozostawiają do życzenia. Co się tycze strony wewnętrznej, to dużą wartością odznacza się przede wszystkim t. zw. zbiór profesora Strobla, wydawany przez firmę Gebethnera i Wolffa. Na zbiór ten, oprócz utworów klasycznych, składa się wszystko prawie, co tylko się ukazało i ukazuje ciekawego we współczesnej literaturze fortepianowej wszechświatowej. Znajdujemy tu utwory kompozytorów francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich, węgierskich, i t. d. — wszystkie zajmujące, a skrupulatnie przejrane i opalcowane przez profesora Strobla. Dobór kompozycji i poklasyfikowanie ich, nadzwyczaj umiejętnie, podług stopnia trudności, przez tak doświadczonego pedagoga, jakim jest Strobl, rekomendują całe to wydawnictwo dla celów pedagogicznych z najlepszej strony. Z innych wydawnictw Gebethnera na uwagę zasługuje piękny walc koncertowy Godarda p. t. „Amoroso“, oraz t. zw. „rapularzyk Lutni“. Jest to zbiór najbardziej znanych i ulubionych utworów, wykonywanych przez towarzystwa nasze śpiewacze, wydane w tym celu, aby członkowie tych towarzystw przy spotkaniu się gdziekolwiek z so-

ba mogli czas spędzać przy pieśni. Piękne wydanie i forma kieszonkowa, zręczna i odpowiednia w tym wypadku, nie mówiąc już o doborze kompozycji, wyróżniają tę sympatyczną, a pożyteczną innowację. Firma Arcta w dalszym ciągu wydaje coraz to nowe numery ze zbiorów, również zaszczytnie znanych pedagogom naszym pod tytułami: „Suite des compositions classiques et modernes“ i „Pianiste élégant.“ Ostatnio wyszły starannie ze wszechmiar przejrane i opalcowane utwory Lacka, Savterii, Mascagniego i Schytte'a. Nakładem tejże firmy wydane zostały cztery pieśni Władysława Żeleńskiego do słów Kazimierza Tetmajera oraz zbiorok melodi p. t. „Nasze pieśni.“ O pieśniach Żeleńskiego szerzej rozwodzić się nie będę — nazwiska autorów muzyki i tekstu starczą za ich ocenę. Wszystkie te klejnociki gorąco polecić można każdemu miłośnikowi i miłośniczce piękna prawdziwego, najbardziej zaś nastrojowe „Na Anioł Pański“ i przepojony liryzmem „Cień Szopena.“ Co się tycze zbioru p. t. „Nasze pieśni,“ to składają się nań melodie ludowe, okolicznościowe, w popularnym opracowaniu Al-Adara. Zbiorek wydany jest w dwóch zeszytach — I zeszyt muzyka, II-gi słowa, — i nadaje się wybornie do użytku dzieci lub młodzieży szkolnej. Firma Sennewalda wystąpiła również z całym szeregiem utworów fortepianowych, z których na wyróżnienie zasługują: dla osób średnio zaawansowanych w grze: „Arlequinade“ Godarda, gawot Galimbertiego, „Sur le lac“ Sydney Smitha i humoreska Schytte'a, dla osób zaś ze znacznie już wyrobioną techniką „Siciliana“ Leschetzky'ego. Nakładem wreszcie firmy Trepte'go pojawiła się „szkoła na skrzypce,“ ułożona przez p. Konstantego Paschalskiego. Autor ułożył „szkołę“ wyczerpująco i systematycznie, na podstawie długoletniej praktyki nauczycielskiej i dobrze się zasłużył społeczeństwu, któremu brak podobnej szkoły dawał się nieraz silnie odczuwać. Dla uzupełnienia niniejszej notatki należy jeszcze wspomnieć w paru słowach o wydawnictwach Echa Muzycznego, Melomana i niektórych prywatnych. Echo wydało w układzie na fortepian znany „Sen na Wiśle“ i marsza z motywów polskich Hellmesbergera, oraz melodyjnego walca do śpiewu Galla p. t. „Nie wierz, nie;“ Meloman w dwóch ostatnich zeszytach dał całą wiązaną nowości, z których szczególnie zwracają uwagę: prelud na skrzypce Angelisa, mazurek na fortepian młodego kompozytora swojskiego Czurlanisa oraz aryjka z operetki ks. Konstantego Lubomirskiego p. t. „Kwaciarka z Chateau d'Eau,“ wystawionej niedawno w Paryżu z wielkim powodzeniem; z wydawnictw wreszcie prywatnych wyróżnić należy: eleganckiego walca (do słuchu) barona Taubego, oraz popularnego, wdzięcznego i modnego walca (do tańca) Karasińskiego p. t. „François.“

St. Dziadulewicz.



## Kronika działalności kobiecej.



— Wspominaliśmy już o stowarzyszeniu kobiet w południowych Stanach Ameryki, mającym na celu przeciwdziałanie wyzyskowi pracy nieletnich w fabrykach, zwłaszcza w fabrykach bawełnianych. Obecnie Stowarzyszenie z Alabana, do którego łączą się stowarzyszenia z innych Stanów, wystąpiło z podaniem do wszystkich fabryk południowej Ameryki, w których pracują dzieci, lecz podanie to nie odpowiedziało położonemu w niem zaufaniu, albowiem zamiast żądać zupełnego usunięcia dzieci z fabryk, na czem zyskałaby moralność i zdrowotność ogólnej ludności, Sto-

warzyszenie ograniczyło się do żądania: aby z fabryk usunęto dzieci, nie mające lat 10-ciu, dzieci zaś 11-to i 12-to-letnie zajmować tylko w dzień a nie w nocy. (!). Dalej, liczba godzin pracy w ciągu tygodnia nie powinna dla dzieci przechodzić godzin 66-ciu, czyli, rachując 6 dni roboczych w tygodniu, wypada 11 godzin na jeden dzień! Łatwo wyobrazić sobie, jakimi są warunki bytu w południowej Ameryce, jeśli to ma być reforma, zażądana przez filantropijne stowarzyszenia.

— Rektor uniwersytetu w Helsingforsie, profesor Hjelt, nadzwyczaj pochlebną ocenę wydał o studentkach tegoż uniwersytetu. Jest on stanowczo zdania, iż wspólne kształcenie kobiet i mężczyzn jaknajlepsze daje rezultaty. Według niego obecność młodych dziewcząt na kursach, nader korzystnie wpływa na obyczaj i na gorliwość w uczeniu się studentów. Kobiety, z małemi tylko, w ogólnej regule nieznaczacemi wyjątkami, oddają się nauce z niestrudzonym zapałem. Obliczając procentowo, 7% studjuje prawo, — 8% matematykę, — 20% medycynę, — 60% historię i filologję, — 5% nauki przyrodnicze. W językach nowożytnych, w estetyce, w literaturze i historii, studentki stanowczo stoją wyżej niż studenci. W matematyce zdarzają się zdumiewające przykłady, lecz te do wyjątków należą.

— W Australii, w mieście Arundale, położonym w południowej stronie Nowej Walii, zorganizowaną została doskonale wyszkolona, i we wszystkie najlepsze przyrzady zaopatrzona straż ogniowa, złożona z niewiast. Australja poszła tu za przykładem Anglii, gdzie już przed paru laty w „Royal Holloway College“ zorganizowany został oddział straży ogniowej, złożony z samych studentek. Sprawiają się one z dzielnością godną najwyższego uznania. Przy wprawianiu się w użycie pomp ręcznych, hydrantów i wiader, uprawiają wyborną gimnastykę. W „Girton College“ i w wielu innych naukowych instytucjach dla kobiet, straż ogniowa składają się wyłącznie ze studentek. W Marazion, w Kornwalii, kobieca straż ogniowa sprowadziła pompy najnowszego systemu i w krótkim czasie umiała obchodzić się z niemi doskonale. W małych miastach, jak Billingham, w Lincolnshire, oddawna już kobiety należały do straży ogniowej.

— Miss Flora Show, redaktorka kolonialnego wydziału w „Timesie,“ wyszła zamąż za generała Sir Fryderyka Luckarda, generalnego komisarza Nord-Nigerii, lecz nie wyrzekła się swej dotychczasowej samodzielnej pracy. Lady Luckard, wysoce wykształcona i zacna, jest znaną osobistością w Londyńskim towarzystwie. Jako dziennikarz posiada nadzwyczajną łatwość i rutynę. Podróżowała bardzo wiele i znakomicie umiała opisywać swoje spostrzeżenia. Pierwsze poważne literackie powodzenie zdobyła sobie „listami z Klondyke.“ Niezrażona wielu trudnościami, jakie znosić musiała podczas dłuższego pobytu w owej arktycznej krainie, miss Show przez lat parę oddawała się tam naukowo-społecznym badaniom. Po powrocie do Londynu zaproszona została odrazu, jako współredaktorka „Timesa.“

— We Wrześniu r. b. święciło stowarzyszenie kobiet belgijskich „La Ligue belge du Droit des Femmes“ rocznicę 10-cioletniego istnienia. Z tego powodu „Liga“ zwołała do Brukselli zjazd feministyczny, międzynarodowy, na którym przedstawicielki różnych stowarzyszeń kobiecych zdawały sprawę o postępie ruchu kobiecego w ich krajach. Sekretariat „Ligi,“ który dotychczas pozostaje czynnym, mieści się przy placu „des Barricades, № 12.“

W domu, należącym do Stowarzyszenia, mieści się także restauracja, będąca dla wielu samotnych kobiet nadzwyczaj ważnym udogodnieniem. W sali bibliotecznej odbywają się odczyty z dziedziny sztuki, literatury, socjologii, nauk przyrodzonych, społecznych itp.

Panna Zofia Alberti jest siostrą duńskiego ministra sprawiedliwości.

Z. S.



## Nasz ul.



W ostatnim numerze „Przeglądu Pedagogicznego“ w artykule «Z dziedziny wychowania moralnego,» zwraca uwagę «Stary pedagog» na coraz bardziej rozwijane w dzieciach, pod pozorem wyrabiania w nich praktyczności, sobkostwo. Kiedy dawniej poczytywano je za wielkie zło, za błąd w wychowaniu, obecnie pyszną się niem, sądząc, że wszystko stoi przed niemi i dla nich otworem, rodzice zaś poczucie to w dzieciach sami rozwijają.

Zło to należałoby zwalczać, a z pewnością przyczyniłoby się to do podniesienia prawdziwej cywilizacji. Pewnym środkiem ku temu mogłyby być urządzone przy kasach oszczędnościowych dla młodzieży rubryki: «na wydatki w celach publicznych i dobroczynnych.» One to mogą służyć rozwijając się w duszy dziecka zarodki samolubstwa, zwracając uwagę jego na potrzeby i dobro ogółne.

„Niwa Polska“ w artykule «Ze spraw szkolnych,» omawia kwestję ofiar, składanych na wpisy. Potrzebę kształcenia dzieci rozumieją coraz więcej szerokie masy, posyłając je do szkół, lecz, niestety, brak środków staje im nieraz na przeszkodzie. Zwracają się tedy z prośbami o pomoc do ogółu, a ten pomocy swej prawie nigdy potrzebującym nie odmawia. Są jednakże rodziny, które mogą pozwolić sobie na pewien nawet zbytek, lecz o pomoc na wpisy dla dzieci, kołaczą do ofiarności publicznej. Ludzi takich, po uprzednim zbadaniu ich stanu majątkowego, należałoby wykluczyć z liczby potrzebujących pomocy.

Następnie należałoby urządzić w zakładach naukowych sprzedaż podręczników szkolnych, zarówno nowych, jak i używanych, a zyskany ztąd procent księgarski, wystarczyłby na opłacenie wpisów choćby za paru niezamożnych uczniów, co byłoby znakomitą ulgą.

Do ucześnień w rozpoczynające się obecnie w Muzeum przemysłu i rolnictwa odczyty, nawołuje w „Kuryerze Polskim“ p. Lach. Smutnym jest wielce, że u nas najciekawsze nawet odczyty, wygłaszane bywają przez znakomitych popularyzatorów wobec pustej prawie sali. Zagranica dawno już rozumiała potrzebę i korzyści, płynące z tak popularnie opracowanych zagadnień naukowych, u nas zaś potrzeba ta nie jest dość jeszcze rozumiana. Wnińśmy zrzucić z siebie tę skorupę obojętności i ignorancji dla nauki i począć nareszcie ucześnieć na wykłady.

Impuls do tego winien wyjść ze strony kobiet, a z pewnością pociągną one za sobą i mężczyzn. A może z czasem, ogół zrozumie znaczenie i korzyści, odnoszone z odczytów.

Wzory do haftów u nas, pisze „Ziarno,“ są wszystkie prawie wyrobu i pochodzenia niemieckiego, a przytem też są zupełnie pozbawione smaku i tylko przyczyniają się do wypleniania w nas poczucia piękna.

Czyby nie można stworzyć wzorów podobnych o rysunkach, opartych na motywach swojskich? Wszakżeż motywów i wzorów do nich jest już tak wiele, że praca kolo tego nie byłaby zbyt znużającą... A i koszt wydawnictwa z pewnością się opłacił, gdyż wzory podobne mogą liczyć na szeroki zbyt nietylko nawet i u nas.

Byłaby więc podwójna korzyść: moralna i materialna.

Pszczola.

## Treść numeru:

Projekt pierwszego Towarzystwa pomocy naukowej dla kobiet, imienia Nareczy Żmichowskiej, przez Wandę Żeleńską. — Na werandzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Kalejdoskop, przez Estwę (ciąg dalszy). — \* (wiersz), przez Lemarego. — Fryderyk Chopin w przedniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Z Omentarzy, przez Mieczysława Offmańskiego. — Na marginesie (wiersz), przez Kometę. — Schronienie dla nauczycielek, przez Bożymira. — Błogosławieństwo Ojca św. dla Deotymy. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Kronika działalności kobiecej, przez [Z. S. — Nasz ul., przez Pszczolę. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 9-ty powieści Dymitra Mereżkowskiego p. t. „Zmartwychwstanie Bogów“ (Leonardo da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej.

Dodatek: Przegląd mód. — Opis ubiorów i robót (rycin 14), oraz Tablica krojów.

# Formy i Modele

nadchodzą co tydzień świeże z Paryża, papierowe i muślinowe na wszelkie ubiory damskie i dziecięce w wielkim wyborze z pierwszorzędnych firm. Rekomendują się zarówno W. Paniom prywatnym, jak i W. Paniom krawcowym.

Do nabycia w magazynie J. SKWARA Niecała 14.

# Nauka Kroju

systemem francuzkim lub angielskim. Kurs teoretyczny i praktyczny. Nauczyciel kroju **Kazimierz Lewański** wynalazca dyplomowanego „PATRONU EXPRESS“. Adres: **NIECAŁA № 14, w Magazynie okryć damskich J. SKWARA.**

Renomowany Magazyn  
**Farb do włosów, wąsów i brody**  
 Egzystujący od r. 1847  
 Magazyn posiada różne farby doświadczone i uznane za najlepsze.  
 Osoby wypisujące listownie raczą nadsyłać próbki swoich włosów, co mi da możliwość wysłania najstosowniej farby.  
 Firma wysyła za zaliczeniem pocztowym.  
 Ceny od 1.50 do 3.50 z przesyłką.  
**W. KWIATKOWSKI**  
 2. Bielańska 2,  
 róg placu Teatralnego.

## ZAWIADOMIENIE.

**MAGAZYN i PRACOWNIA**  
 Obuwia Damskiego, Męzkiego i Dziecinnego pod firmą **M. CZARNECKI**  
 Nowy-Świat 41.  
 Prowadzę obecnie pod moją własną firmą **L. NIEMCZYŃSKI**  
 niezależnie od magazynu przy Nowym-Świecie № 26, o czym mam honor zawiadomić Szanowną i łaskawą klientele.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny  
**Ant. STRÓMIŁO**  
 25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych.—Stalarnia własna.—Ceny niskie.

# OD KATARU



## BORO MENTOL

provizora farm.  
**J. Kuczuka**  
Cena kop. 30.

Sposób użycia jest przy każdej tutce.  
Sprzedaż w Aptekach i Składach Aptecznych.  
Reprezentant  
**S. M. GOLDBERG**  
Warszawa, Karmelicka 5.

Nowe modne perfumy

# „Apotheose“

Crème Oriza.

Fabr. L. Legrand, Paryż.

## SZANOWNE PANIE.

**Oszczędność to cnota społeczna!** Uwadze Ich polecamy znany w Warszawie Zakład Reparacji, czyszczenia, prania chemicznie, przerabiania według mody garderoby Męskiej i Damskiej. **Marszałkowska 143, w podwórzu. JAN.**

NOWOŚĆ!

## WOLPIN

NOWOŚĆ!

opatentowane we wszystkich państwach. Wywabia radykalnie wszelkie plamy z każdej matery i przywraca pierwotną świeżość. W gospodarstwie domowym niezbędny. Daje się zastosować ze znakomitą skutecznością do białych i kolorowych rękawiczek, jasnego obuwia, wszelkiej odzieży, dywanów pluszowych, najdelikatniejszych tkanin i t. p.

Do nabycia we wszystkich Składach Aptecznych.  
Wylączna sprzedaż: **Otto BLUMENTHAL, Warszawa, Aleja Jerozolimka 45.**  
Przesyłki próbne za zaliczeniem.

## Gimnastyka Szwedzka

dla zdrowych i wątłych

stosuje się także w skrzywieniach kregosłupa, nierównościach łopatek, w nerwowości, anemii, w wielu objawach złego krążenia i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim w **Zakładzie Heleny Kuczalskiej, Moniuszki 9, gmach Tow. Rossya.**  
Ceny: 3 rb. miesięcznie pedagogiczna; 10 rb. lecznicza z masażem. Dla gimnazjstek i pensjonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracujących miesięcznie rubla. Chłopcy do lat 12.

# NA SKU

tek nader licznych podrabiań, każda torebka prawdziwej „Błyskawicy“ zaopatrzona jest moim podpisem. Najdoskonalszy oraz najtańszy środek „Błyskawica“ do czyszczenia wszelkich metali, nie wala, nie brudzi, nie plami. Torebka tylko 5 kop.  
**B. LANDY, Warszawa, ul. Leszno № 53. Żądać wszędzie.**

PRACOWNIA  
 Okryć Damskich  
 i Kostyumów Angielskich  
**St. Kleniewskiego**  
 Krakowskie-Przedmieście № 14,  
 vis à vis kościoła Świętokrzyskiego



# HOROSKOP

Pamiętnik ze skarbcza poezji polskiej  
 UŁOŻYŁA  
**Wanda Żeleńska.**  
 Wydanie drugie powiększone.

## „BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY“

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE.

Wybór najcenniejszych utworów literatury ojczystej i obcej, opracowanych w formie, dostępnej dla dorastającej młodzieży. Rocznie 52 tomy. 5–6 arkuszy druku.

Warunki prenumeraty.

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie	rb. 8	Rocznie	rb. 9
Półrocznie	„ 4	Półrocznie	„ 5
Kwartalnie	„ 2	Kwartalnie	„ 3

Redakcja i administracja: Warszawa, Wspólna 63.

# Encyklopedyi Staropolskiej

Ilustrowanej,  
 wyszedł tom III-ci

obejmujący wyrazy od K do P, a łącznie z dwoma poprzednimi około dwa tysiące artykułów i kilkaset ilustracji, rysunków, nut.

Tom ostatni (4-ty) wyjdzie w połowie r. 1903.

Cena całego dzieła w oprawie rub. 12, w księgarniach i redakcji (ul. Chmielna 59). Po wyjściu tomu 4-go i obliczeniu ogólnych kosztów wydawnictwa, cena powyższa będzie prawdopodobnie podwyższona.

Osoby nie przesyłające pieniędzy, mogą żądać listownie (ul. Chmielna 59), wysyłki tomów oprawnych, wskazując czytelną i dokładną adres, a otrzymają dzieło za zaliczką pocztową t. j. za zapłatą przy odbiorze.

## WARSZAWSKI MAGAZYN

St.-Petersburskiej fabryki

# MECHANICZNEGO OBUWIA

NOWY-ŚWIAT 32,

Poleca na sezon bieżący tylko najlepszy wybór

## OBUWIA

i **KALOSZY Petersburskich**

TYLKO

W NAJLEPSZYM

GATUNKU.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

## BOROXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.

Cena flakonu 60 k.

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

**F. ZAMENHOFA**

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

Prospekty gratis i franco.



Towarzystwo Udoskonalonej  
 PERFUMERYI

# A. RALLE i S-ka

DOSTAWCY DWORU w MOSKWIE.

Oddział Warszawski

ul. WIERZBOWA 7. TELEFON 1129.

Polecają Ostatnie nowości, Perfum, Mydeł i Wody Kolońskiej.

Wzros  
 Trèfle

Champacca  
 Violette des Bois  
 Chrysanthème.

Dostać można w Perfumeryach i Składach aptecznych.

**Album Sztuki Polskiej** Cena w oprawie **Rb. 12.**

Dla użytku domowego i samouków

## Metoda Kroju i Szycia

z rysunkami Sukien, Okryć damskich i dzieciennych

# EMILJI EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechowej z dyplomem paryskim

dn nabycia w księgarniach oraz w **SZKOLE KROJU w Warszawie.**  
**ZGODA 3-CHMIELNA 24. Cena rb. 2.**

### Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa

NAGRODZONA NA WYSTAWIE KUCHARSKO-SPOŻYWCZEJ 1902 r.

# WIELKIM MEDALEM SREBRNYM NAJNOWSZA KUCHNIA

WYTWORNA i GOSPODARSKA

zawiera 1032 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni jarskiej, z ilustracjami, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny podawania przekąsek i potraw, 70 wzorów „Menu” skromnych i wystawnych śniadań, obiadów i kolacji na każdą porę roku i t. p., ułożyła

**MARTA NORKOWSKA.**

W ozdobnej okładce, stron 420 większego formatu. Cena rb. 1.80 kop. w kart. rb. 2.  
Przesyłka pocztowa kop. 30. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

## HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

### Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Pianino — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis. Telefon № 812.



PRACOWNIA KÓLDER

### MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.  
Ceny przystępne.

Wielki wybór!

MEBLE

„Maison Nipon”  
9. SZPITALNA 9.  
BAMBUSOWE.  
Ceny znacznie niższe!

Baczność!

Baczność!

Szkoła rękodzielnicza cechowa dla kobiet

## KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ

ul. Mazowiecka Nr. 11, m. 8.

Przyjmuje na różne rzemiosła: kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwo cechowe.

# T. Z. OSIŃSKI

WARSZAWA

142. MARSZAŁKOWSKA 142.

Porcelana. \* Fajanse.

K. yształy. \* \* Majolika.

Wyroby Terrakotowe.

Wybór wielki. Ceny niskie.

WŁASNA MALARNIA.

# GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 55 W WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

**PLÓTNA, STOŁOWĄ BIELIZNĘ, RĘCZNIKI i t. d.**

letniego bielenia.

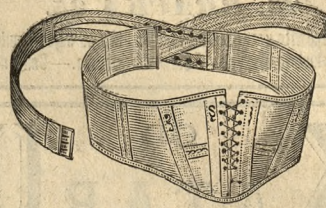
CHUSTKI DO NOSA BIAŁE I KOLOROWE.

MATERJAŁY PUCHOWE. \* FLANELE. \* BARCHANY.

WYROBY POŃCZOSZNICZE.

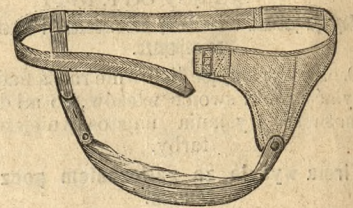
**BIELIZNĘ DAMSKĄ i MĘSKĄ. WYPRAWY GOTOWE.**

FIRANKI OD RB. 2.75 ZA OKNO. DYWANY. PORTJERY.



### PASY BRZUSZNE

najlepszej konstrukcji, dające się zastosować w każdej potrzebie, **lekkie, trwałe i nader praktyczne**  
poleca satynowo gumowe po 5 rb.  
tiulowo-gumowe „ 6 rb.



### PASY MIESIĘCZNE

niezbędne dla wszystkich dam, trwałe i bardzo praktyczne z 12-a zapasowami poduszkami—poleca po 2 rb. 75 kop.  
(tuzin samych poduszek 75 kop.).

Magazyn Gorsetów nieszkodliwych „HIGIENA”

Warszawa, SENATORSKA 32, I-e piętro.

Zlecenia zamiejscowe wykonywane za zaliczeniem pocztowym, doliczając za przesyłkę i opakowanie 50 kop.

Do obstalunku pasa brzuszego należy dołączyć obwód brzucha, mierząc naokoło w najcieńszym miejscu.

Zamówienia na 3 sztuki wysyłają się na rachunek składu.

116. Marszałkowska 116.

NOWO OTWORZONY

## MAGAZYN BŁAWATNY

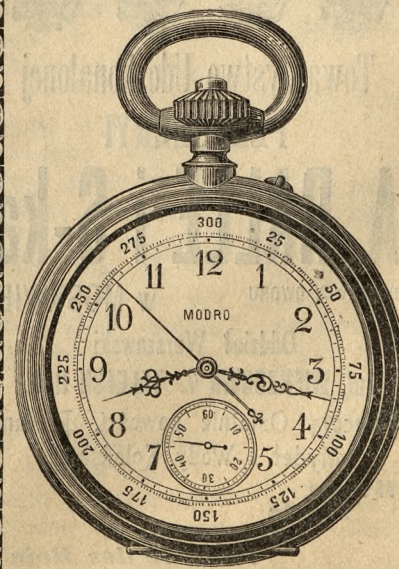
# J. Pawłowskiego

Poleca nowości sezonowe

z fabryk zagranicznych i krajowych.

116. Marszałkowska 116.

ZEGARMISTRZOWSTWO PRECYZYJNE.



## Adolfa Modro

151, Marszałkowska 151, \* \* \*

Warszawa.

### Wielki Wybór

Zegarków kieszonkowych damskich i męskich, Regulatorów, Zegarów stołowych, Budzików kieszonkowych i kontrolerów, \* \* \* Dewizek złotych etc. \* \* \*

### GWARANCYA.

CENY UMIARKOWANE.

Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyżka 11.